ŚWIAT

Nr. 30 • 25 • VII • 1931



ŻNIWA

Fot. „Photo-Plat"

HUMOR

Przystojny mężczyzna w średnim wieku ogląda pokój do wynajęcia. Interesują go różne szczegóły. Między innemi, pyta:

— Czy pani ma córkę?...

Właścicielka mieszkania wstydliwie opuszcza oczy i rezolutnie odpowiada:

— Nie. Lecz ja jestem wdową!

*

Między sportowcami na placu golfowym:

— Co to, pan dziś nie gra?!

— Lekarz mi zabronił...

— Czyżby i on miał przyjemność poznać pańską tuszerkę?

*

— No jak interesy?

— Zupełnie źle. Prześladuje mnie pech. Przed chwilą straciłem złotą papierośnicę.

— Widocznie masz dziurawą kieszeń.

— Nie, ale ten, któremu wypadła z kieszeni, zauważył zgubę, zanim zdążyłem ją podnieść.

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXVI

ŚWIAT

NR 30

WARSZAWA, DNIA 25-go LIPCA 1931 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

JÓZEF WEYSSENHOFF

DWORY W MIŃSZCZYŹNIE

U HENRYKA WEYSSENHOFFA

Błądząc w dalszym ciągu wspomnieniami po Mińszczyźnie, natrafiam z upodobaniem na siedzibę zapadłą, skromniejszą, niżby można się spodziewać, ale zato owianą sielską poezją — więc w zupełnem przeciwieństwie do Przyłuk — na Russakowicze Henryka Weyssenhoffa. Jest to szczątek dóbr Władysława, ojca Henryka, który posiadał przed powstaniem 1863 r. Pokrewnie i Dowboryszki w Kowieńskiem, po matce swej Platerównie, a po żonie, z domu Bykowskiej, znaczne przestrzenie w Mińszczyźnie. Władysław, za udział w powstaniu zesłany w głąb Rosji, powrócił po latach wygnania do części swych dóbr ziemskich opustoszałych i rozkradzionych; synowie nie przyrobili majątku; zatem Henryk siedział już na niewielkiem, lecz uroczem państewku, Russakowiczach.

Nad rzeką Ptyczą, w pobliżu wielkiego przez nią mostu, napotyka się piękny stary gaj lipowy, ze śladami przykrojenia go przez ręce ludzkie. Jest to ogród russakowicki, w którym toną zupełnie zabudowania dworskie. Stary dwór drewniany, parterowy, z paru ganeczkami obrośniętemi dzikiem winem, dobrze jest znany miłośnikom polskiego malarstwa z popularnego obrazu Henryka Weyssenhoffa, przedstawiającego mocowanie się dwóch niedźwiadków przed gankiem tego dworku. Ten budynek z powodu zaklęśnięcia w ziemię i innych defektów starości przeznaczony już był dawno na użytki drugorzędne. Nowy dwór zamierzano postawić gdzieindziej, tymczasem zaś właściciele przenieśli się do piętrowego lamusa, zwanego „skarbcem", struktury dość zalotnej, otoczonej drewnianemi portykami na parterze i na piętrze. Projekt budowy nowego dworu pozostał przez ćwierć wieku projektem, a Henrykowie Weyssenhoffowie gnieździli się w owym skarbcu, miniaturowym jak na obywatelskie mieszkanie, ale urządzonym z artystycznym smakiem i wystarczającym dla dobrobytu dwojga ludzi. — Przyjezdni goście, których tu nie brakło, mieścili się w niskich izbach starego dworu.

„Skarbiec", aby starczyć na potrzeby zamożnych bądź co bądź ludzi, musiał być urządzony misternie, w rodzaju chińskich szkatułek, z mnóstwem przegródek wchodzących jedna w drugą, a w tych pomysłach celował Henryk, który pomimo swego wielkiego talentu malarskiego był majstrem od drobiazgów. Obszerny pokój na piętrze służył za salon, takiż na parterze — za jadalnię; w pozostałych czterech (?) klitkach mieściły się jakoś: sypialnia, kredens i jeszcze salonik i drobny hall. — W lecie podcienia obu pięter służyły też za miejsca posiedzeń jadalnych i konwersacyjnych. — Ściany szczelnie były zajęte przez obrazy, między któremi mało dzieł Henryka, bo te rozkupywano szybko, ale dużo portretów rodzinnych, cudzych obrazów i rycin. — Sporą też ilość przedmiotów starożytnych rozmieszczono na stołach, w witrynkach i szufladkach, bo Henryk, choć nie kolekcjoner zawodowy, lubił znosić do gniazda rzeczy ładne i ciekawe, a przejeżdżając ciągle z Mińszczyzny przez Warszawę do Paryża i z po-

wrotem, kupił nieraz jakiś ładny grat na licytacjach hotelu Drouot, albo w Warszawie, lub w Mińsku wyszperał jakie curiosum. Sam też w swej pracowni — osobnym budynku, na którego wzniesienie jednak się zdobył — wyrabiał czasem śliczne curiosa. Pamiętam jeden stół do kart, którego blat z drzewa jesionowego otoczony był fryzem inkrustowanym z hebanu czy gruszki, przedstawiającym bawiące się i koziołkujące czarne niedźwiadki. Ten fryz przedziwny rysował i wycinał sam Henryk, a stół zbudował pod jego nadzorem jakiś doskonały stolarz. Wśród mnóstwa rzeczy drobnych, ale zawsze artystycznie lub etnograficznie coś znaczących, były i większe dzieła sztuki, jak np. piękne popiersie z bronzu naturalnej wielkości żony Henryka, Ludwiki z Sokolskich, wykonane w Paryżu przez Wacława Szymanowskiego.

Jak Henryk napełniał Russakowicze swym artyzmem, tak zacna jego i miła żona była tam twórczynią ładu i dostatku. Zajmowała się bardzo sprawnie gospodarstwem nietylko domowem, lecz i rolnem, którego Henryk nie pilnował wcale. On tylko kochał swoje pejzaże i w ich odtwarzaniu pogrążał się, o ile panujące nad nim kaprys i sybarytyzm na to mu pozwalały. Muszę wymienić te wady, objaśniające pewne ograniczenia jego talentu. Nigdy naprzykład nie nauczył się rysować człowieka, który jednak jest kapitalnym szczegółem widnokręgu malarza, choćby pejzażysty. Miał swoje uparte predylekcje do krajobrazu białoruskiego i do niektórych gatunków zwierząt, którym się z lubością przyglądał. Prawda, że nikt lepiej nie oddał w malarstwie uroku ośnieżonych stogów w słońcu, opuszczonych cmentarzy, mokrych i zwikłanych lasów, bawiących się niedźwiadków, łosiów na moczarach, ciągnących dzikich kaczek, psów chorych na spleen wśród piaszczystej zawiei i t. p. — Ale brakło majsterstwa, gdy obrany temat wymagał koniecznie wprowadzenia do kompozycji człowieka, wnętrza mieszkalnego i t. d.

Pamiętam, gdy otrzymałem kartony Henryka Weyssenhoffa, ilustrujące mojego „Sobola i pannę", odwiedził mnie Stanisław Lentz, z którym byłem w długoletnich przyjaznych stosunkach. Pokazałem mu kartony. Przeglądał je uważnie, milcząc i wyrabiając twarzą hieroglificzne a pocieszne miny; układał przytem jedne na prawo, inne na lewo. Gdy skończył przegląd, orzekł lakonicznie, a niemiłosiernie, jak to zwykle jeden malarz o drugim:

— To rysował Weyssenhoff. — A tę resztę... chyba jego służący!

Było w tem zdaniu sporo słuszności. Niektóre krajobrazy, śliczne winiety początkowe i końcowe rozdziałów — wykonane były po mistrzowsku; ale grupy ludzkie, a nawet niektóre zwierzęta mniej przez artystę obserwowane były mierne, albo i wadliwe w rysunku. —

Trzeba tu wytłómaczyć, że Henryk wogóle nie lubił się śpieszyć, często swe płótna lub kartony odkładał i porzucał. Tu zaś musiał dużą serję oddać wydawcom na termin. Wprawiało go to w bardzo zły humor, który przy tworzeniu artystycznem mocno przeszkadza.

Russakowicze za czasów pokoju, a nawet w pierwszych dwóch latach wojny były ciepłem i pachnącem ustroniem, licznie odwiedzanem przez sąsiadów lub i przyjezdnych z daleka. Szczerej i wesołej gościnności obojga gospodarstwa towarzyszyła tu nuta erotyczna, pochodząca od usposobienia Henryka, który bardzo był czuły na wdzięki niewieście. Wśród gości znajdowały się często ładne i rozbawione niewiasty. Wzgląd na szanowność domu, a zresztą delikatne obyczaje litewskie wyłączały możliwość rozpasania jakiejś orgji, ale ciche porozumienia parami, przechadzki w cieniach ogrodu były na dobie.

W lecie 1915 zebranie towarzyskie w Russakowiczach nadzwyczaj było wesołe. Spotkałem w Mińsku Tadeusza Micińskiego, który po wyjeździe z Warszawy błąkał się po wschodnich krańcach Polski, szukając gorączkowo jakiejś służby Ojczyźnie. Jak wielu innych, nie znajdywał dla siebie roli wyraźnie pożytecznej, ani ja jej doradzić mu nie umiałem. Tymczasem wyraził skromniejsze życzenie: znaleść się gdzieś na szczerej wsi miejscowej. Na to zaradziłem łatwo, zabierając go do kuzyna mego Henryka, do Russakowicz.

Znalazły się tam naturalnie między gośćmi dwie piękne panie: młoda mężatka posągowa, biała ze złotemi włosami, i hoża brunetka, panna, bardzo figlarna i zaczepna. Obie oczekiwały hołdów od obecnych mężczyzn, zwłaszcza od poetów; obie były od dziecka znane Henrykowi, ja widziałem je już nieraz, Miciński po raz pierwszy. Do mężatki napisałem wiersz pod tytułem Chryzelefantina:

Ze złota i słoniowej kości
Składa się posąg twego ciała...
i t. d.

Wiersz podobał się Micińskiemu, więc nazywał ową panią stale Chyzelefantiną, pannę zaś zamianował „kniaziówną", według własnego natchnienia.

Płynęliśmy łodzią po Ptyczy — dwie wspomniane boginki na przodzie, na *rostrum*, odwrócone twarzami do Micińskiego i do mnie, którzy sąsiadowaliśmy na środkowej ławce; między nami a boginkami wioślarze białoruscy. Henryk siedział na *puppis* i trzymał ster. Miciński zaczął improwizować jakieś swe zachwyty dla pań, nie wierszem, lecz swoją zwarjowaną prozą. Chociaż miał sokratyczną, łyszą czaszkę i piękne oczy, ale z rozwichrzoną brodą i krótkim barczystym tułowiem wyglądał, jak Żabicz Bekerekeks, dobywający się ze studni dla oświadczenia swych zapałów dwóm naraz Rautendelein'om *), które serdecznie się śmiały. — Gdy ustawał, ja zaczynałem deklamować brednie, parodjując styl Micińskiego z piekielnej jego tragedji „Basilissa Teofanu", wiążąc do byleczego Trismegisty, Chorybanty, Gehenny, polykandele... Jedynie polykandelami można było od biedy nazwać wieloświeczniki lilji wodnych, których tłum pruliśmy roześmianą łodzią.

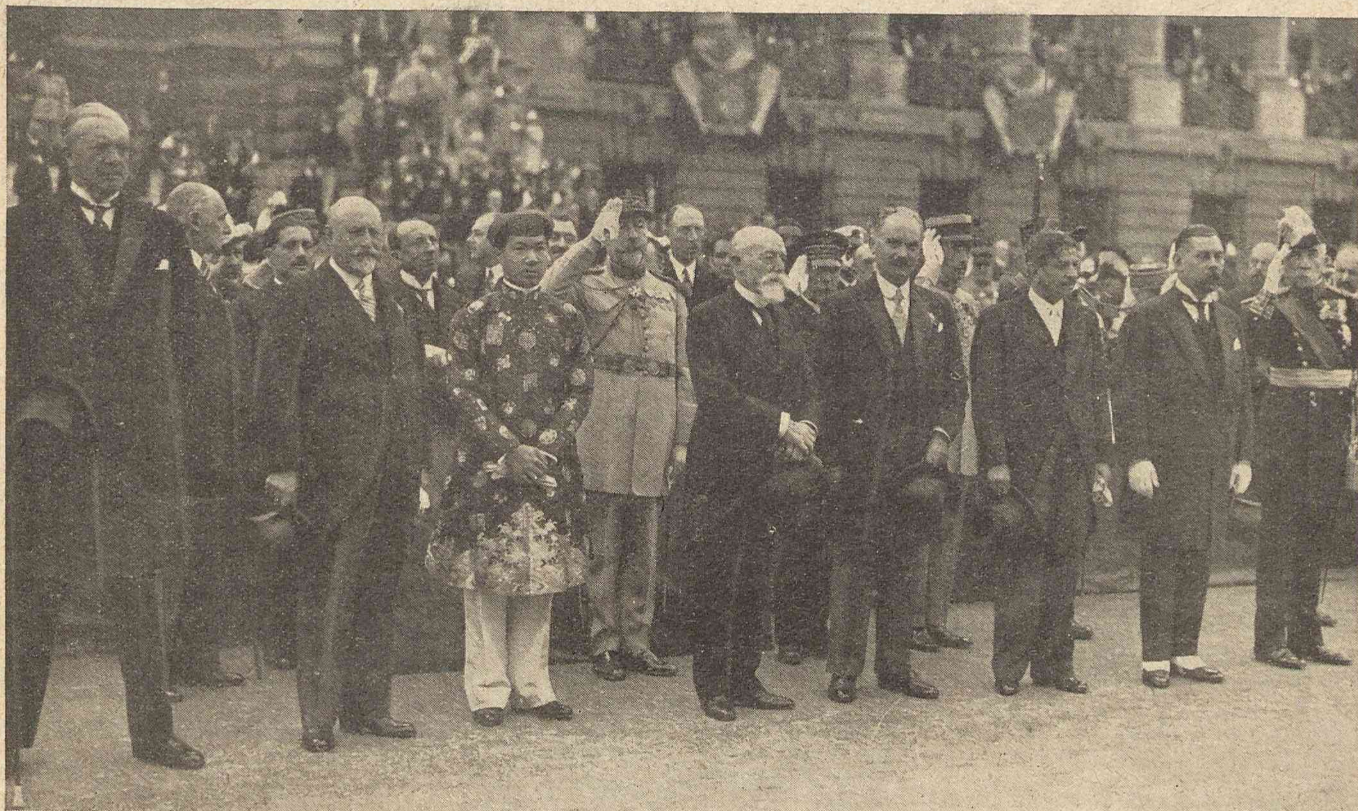
Miciński pragnął podczas swego krótkiego pobytu wyzyskać wszystkie rozkosze wsi, woziliśmy go więc i na pola i do lasu. Wyrwał się nam raz z bryczki przy leśnej polanie, na której stał stóg siana, wdrapał się na wierzch, może aby być bliżej nieba i tam pozostał w kontemplacji. Ledwieśmy go ściągnęli z powrotem i zabrali na bryczkę.

Ale w najwspanialszej postaci ukazał nam się jednego poranka. — Całe towarzystwo wyszło do ogrodu i zdążało, jak zwykle, do Ptyczy. Wtem przez lipy nadbrzeżne zaczęło migać stworzenie poskakujące pędem wzdłuż rzeki, odziane czemś ciemnem i włochatem, bardzo obcisłem — — Panie zerknęły i pośpiesznie zawróciły od rzeki. Ale Henryk i ja stwierdziliśmy niezawodnie, że to Miciński, obrośnięty jak zwierz, używał po kąpieli takiej gimnastyki dla zdrowia.

Późnym wieczorem kręciliśmy stoliki w ciemnym pokoju, w siedem osób, oczywiście z obiema ładnemi paniami. Stół ruszał się, pukał nogą, podnosił się jedną stroną, bez doskonałej „lewitacji" — jak zwykle. — Ale Miciński, biegły podobno w tym kunszcie, wywodził

---

*) Postacie z poetycznego dramatu G. Hauptmana „Dzwon zatopiony".



Prezydent Doumer przyjmuje defiladę. Obok niego stoją: (od lewej do prawej) gen. Maginot, prezes Izby Deputowanych Buisson, cesarz Annamu, premjer Laval, prez. Rady Miejsk. Dumesnil i Lyautey

Fot. Photo-Plat

z ruchów stołu odpowiedzi i horoskopy. — Nazajutrz rano Henryk, z miną przejętą, oświadczył nam, że znalazł rzecz zadziwiającą. Podczas naszego seansu spirytystycznego wycelowany był na stół aparat fotograficzny, który pomimo ciemności zanotował na kliszy dziwne kształty.—Patrzcie tylko — —

Ukazał odbitą kliszę, na której widać było siedem mgławic, składających wyraźne kształty siedmiu postaci ludzkich — tylu, ile nas wczoraj siedziało przy kręconym stole. — Postacie te płynęły w powietrzu — jedna trzymała jakby pochodnię — nad głową innej unosił się wianek — — W przewidywaniu jakiejś farsy, badaliśmy, czy fotografji nie zdjął Henryk z jakiego swego rysunku. Ale Henryk mówił poważnie, choć z zakłopotaniem, a technika tego rysunku była nieznana, zarysy bowiem i fałdy szat powłóczystych ciągnione były cieniutkiemi białemi linjami na tle ciemnem — — ?

Miciński uznał to niebawem za arcyciekawy dokument, za reakcję naszych ciał astralnych, które nad nami krążyły podczas seansu, niemal za fotografję dusz — — Poprosił o odbitkę, którą miał posłać do towarzystwa spirytystycznego w Moskwie. — Dopiero po wyjeździe Micińskiego Henryk wybuchnął śmiechem i oświadczył nam, że znalazł w aparacie popsutą kliszę żelatynową, na której żelatyna rozłożyła się w dziwaczne gruzły; gruzły te ugrupował i upodobnił do powiewnych siedmiu postaci.

Takie puste zabawy zajmowały nas w Russakowiczach jeszcze na początku wielkiej wojny, ale doprawdy powabniejsze, niż ordynarna pijatyka, lub piłowanie bridge'a całemi dniami.

Tadeusza Micińskiego spotkałem raz jeszcze na Wschodzie, w czasach już bardziej ponurych, w r. 1917 w Kijowie. Było nam obu nie do żartów. Szukał dalej, ale smutniej, okazji służenia Polsce, która gdzieś dopiero majaczyła w wyobraźni; umieścił się przy pierwszych formacjach wojska polskiego; pozbył się nawet swoich górnych, rozwichrzonych wizji poetyckich; czytał mi świeże wiersze, jakby nie swoje — poczciwe, regularne wiersze patrjotyczne w rodzaju Or - Ota. — — I zniknął później, przepadł, pochłonięty przez tę realną Gehennę bolszewicką, będącą absolutną negacją poezji życia. A był to szczery i natchniony poeta, tylko zbzikowany na oryginalności formy. Słyszałem o nim, że dobre swoje wiersze młodzieńcze umyślnie zaciemniał i psuł, aby je doprowadzić do mistyczno - dekadenckiej doskonałości (?). — Może też fatalna szkoła i krytyka literacka spółczesna, której słuchał zbytecznie, zwichnęła jego duży talent. Przebłyska on jednak w wielu dziełach.

Z Russakowicz, w których spędziłem dwa razy po parę wesołych tygodni, wybierałem się z Henrykiem do sąsiadów, a raz w dalsze strony, aż pod Orszę, aby odwiedzić jego starszego brata Jana Weyssenhoffa w majątku zwanym Wiejno, dzisiaj już na powierzchni ziemi nie istniejącym, dzięki zdobyczom i reformom rewolucji rosyjskiej. Po drodze wstąpiliśmy do Tołoczyna Sławińskich, dużego dworu, opromienionego wdziękiem pięknej gospodyni domu, pani „Panterki" z Piottuch - Kublickich Sławińskiej.

W mieście świętego Antoniego

Podobnie jak Asyż opromieniony jest sławą św. Franciszka, znanego we Włoszech pod nazwą „Poverello d'Asisi", tak Padwa żyje pod znakiem św. Antoniego, zwanego powszechnie „il Santo". Stąd Padwa bywa też niejednokrotnie nazywana „Città del Santo".

Obecnie z okazji siedemsetlecia śmierci św. Antoniego, który w wieku lat trzydziestu sześciu połączył się z Bogiem w pobliżu Padwy, w Arcella, niezmierzone tłumy pobożnych, wielbicieli i gorących wyznawców idei św. Antoniego napływają ze wszystkich stron świata do Padwy, aby uczcić należycie znakomitego protektora i opiekuna biednych i nieszczęśliwych.

Właściwe uroczystości antoniańskie rozpoczęły się w nocy z dwunastego na trzynasty czerwca, w którym to dniu św. Antoni rozstał się z tym światem.

Od brzasku poczęła napełniać się tłumem sławna Bazylika padewska; przy wszystkich ołtarzach celebrowano msze święte, a znakomity chór antoniański intonował pieśni na cześć sprawcy cudów — „Taumaturgo". Całe prezbiterjum pokryto ogromnym dywanem, ofiarowanym Bazylice przez Napoleona. Kościół przystrojono wonnemi liljami, kwiatem św. Antoniego. Tłumy najgęstsze cisnęły się ku ołtarzowi, wybudowanemu nad grobem Świętego. Kaplica, zawierająca go — „Arca del Santo", ozdobiona jest dokoła dziewięcioma prześlicznemi wypukłorzeźbami, przedstawiającemi poszczególne momenty życia św. Antoniego. Przy wykonaniu tych znakomitych dzieł sztuki współpracowali najwybitniejsi mistrze Renesansu z Jacoppo Sansovino, Antonio i Tulio Lombardo na czele. Jedna z rzeźb jest dziełem Jana Marji Mosca, który nie dokończywszy nawet zleconego mu dzieła, przyjechał do Polski na wezwanie króla Zygmunta Starego, celem wykonania sarkofagu królewskiego. Artysta, powszechnie znany u nas pod nazwiskiem Padovano, resztę żywota spędził w Polsce, pracując na Wawelu, jakoteż w kościele Panny Marji w Krakowie, jak również na Ratuszu w Tarnowie.

Bazylika św. Antoniego w Padwie, jedna z najokazalszych świątyń chrześcijańskich, o różnorodnej bardzo architekturze, wynikłej z długiego okresu budowania świątyni, ozdobiona jest ośmioma kopułami, wśród których dwie o kształcie wież minaretowych nadają świątyni pewną strzelistość. Oprócz wspomnianego sanktuarjum „Arca del Santo" na szczególną uwagę zasługuje Ołtarz Wielki, ozdobiony pięknemi rzeźbami Donatella oraz „Cappella della Madonna Mora", która powstała w miejscu, gdzie się znajdował w jedenastym wieku kościołek Santa Maria Mater Domini; tu zwykł św. Antoni spędzać długie godziny na modlitwie.



ŚW. ANTONI PADEWSKI

Bogactwem relikwji olśniewa skarbiec kościelny, mieszczący się w specjalnej kaplicy barokowej, wybudowanej według planu genueńczyka Fil. Parodi. Wśród relikwji najcenniejszą jest język Świętego, umieszczony w kosztownym, wspaniałym relikwiarzu w kształcie głowy, obnoszonym publicznie w uroczystej procesji w połowie lutego. Ów symbol płomiennej wymowy św. Antoniego, który żarem swych słów i przekonań umiał nawracać najzaciętszych niedowiarków, jest przedmiotem wielkiego kultu.

Z Bazyliką padewską graniczy ogromny klasztor „Chiostro Antoniano", jakoteż Muzeum i bibljoteka Antoniańska. Znajduje się tu również Schola Cantorum braci zakonnych. Na placu przed Bazyliką budzi zachwyt wspaniały posąg na koniu dłuta Donatella, przedstawiający dowódcę wojsk weneckich Erazma de'Narni, zwanego Gattamelata. Od czasów starożytności jest to pierwsza statua odlana w bronzie.

W pobliżu Bazyliki Antoniańskiej znajduje się starożytny ogród botaniczny, który od wieków służył uczonym i uczniom padewskiej „Sapienza", jak zwano sławny ten uniwersytet. Blisko ogrodu podziwiamy kościół św. Justyny, gdzie uwagę zwracają śliczne, w drzewie lipowem rzeźbione stalle.

Tuż przy kościele położony jest bardzo stary park „Prato della Valle", w którym znajdują się statuy osiemdziesięciu siedmiu wybitnych mężów stanu, polityków, poetów i artystów, związanych części-



BAZYLIKA ŚW. ANTONIEGO



POMNIK STEFANA BATOREGO W „PRATO DELLA VALLE"

wo z Padwą. Wśród nich widzimy ufundowane przez Stanisława Augusta posągi Stefana Batorego, ucznia Akademji Padewskiej, i Jana Sobieskiego, zwycięzcy Turków.

Podążając od Bazyliki w stronę starożytnego Ponte Corvo, mijamy pięknie w ostatnich czasach odnowiony gmach Collegio Pratense, w którym od czternastego wieku znajdowała się założona przez kardynała Pileo da Prata bursa dla biednych studentów uniwersytetu.

Wszedłszy w środek miasta, zatrzymujemy się przedewszystkiem na sławnym Piazza delle Erbe, na którym dominuje ogromny budynek podłużny — Palazzo della Ragione. Ten Pałac Rady, pochodzący z dwunastego wieku, został przebudowany i zupełnie zmieniony w roku 1307 według planów brata Giovanni degli Eremitani, któremu się zawdzięcza sławną konstrukcję drewnianego dachu. W bardzo kunsztownem dekorowaniu sali rozlicznemi malowidłami, przedstawiającemi wszystkie pory roku, miesiące, dni, jak również znaki zodjaku, brał udział m. in. Giotto. Renesansowe krużganki, okalające pałac, pochodzą z wieku szesnastego. Plac, na którym się mieści Pałac Rady, należy do najcharakterystyczniejszych placów włoskich, gdyż po dzień dzisiejszy nie zmienił swego wyglądu; podobnie, jak w Veronie, odbywa się tu codziennie targ na owoce i jarzyny. Dodaje to placowi dziwnego uroku i życia.

Zwiedzając w dalszym ciągu zabytki miasta „del Santo", podążamy ku uniwersytetowi, którego aula, jak również sala wykładowa, zwana „Teatro anatomico", zyskały sławę światową. Wśród godeł, zdobiących aulę i krużganki, znajdujemy liczne herby Polaków, którzy jako uczniowie odegrali wybitną rolę w bujnem życiu uniwersyteckiem miasta.

Podążając dalej, zatrzymujemy się przed starodawną kawiarnią Caffee Pedrocchi, w której przez dziesiątki lat koncentrowało się życie intelektualne Padwy. Mijając malownicze mostki, przerzucone ponad strumykiem Bacchiglione, zbliżamy się do kościoła degli Eremitani, gdzie podziwiamy wspaniałe freski Mantegni, wyobrażające m. in. mękę św. Krzysztofa. W pobliżu tego, w cieniu ukrytego kościołka znajduje się pośrodku ogrodu publicznego sławna kaplica „Madonna del Arena", ozdobiona świetnie utrzymanemi freskami Giotta, ilustrującemi żywot Jezusa i Marji.

Nie można opuścić Padwy, nie przeszedłszy przez plac „dell'Unita d'Italia" ku placowi Katedralnemu, gdzie w Battistero zachowały się blednące już nieco freski, które na zlecenie księżniczki Finy Buzzacarini, żony księcia Carrary, wykonał Giusto di Menabuoi.

Chcąc oddać należyty hołd św. Antoniemu, należy odbyć niedaleki spacer do sanktuarjum w Arcella,



POMNIK KRÓLA JANA SOBIESKIEGO W „PRATO DELLA VALLE"

w miejscu, gdzie zmarł św. Antoni na skutek wycieńczenia i osłabienia z powodu żywota, pełnego ascezy i wyrzeczenia się wygód ziemskich na wzór swego mistrza, Franciszka z Assyżu.

Św. Antoni, przywieziony na prostym wozie z Camposampiero, gdzie bawił przez ostatnie dni u swego przyjaciela, hrabiego Tiso i przemawiał ogniście do ludu z wysokości starego drzewa orzechowego, przyjąwszy tu w klasztorze Klarysek oleje święte, oddał ducha z wizją Dzieciątka Jezus w oczach. Ostatnie słowa Świętego były: „Video Dominum meum".

Dzieci, które zgromadziły się w pobliżu umierającego, rozpierzchły się, wołając: „E morto il Santo"!

Umarł Święty!, a skowronki zleciały się, tworząc dokoła głowy Zmarłego pierwszą aureolę!

Fr. Sz.

URZĘDNICY.

Ich organizacje i nastroje

Dużo czasu jeszcze przejdzie, zanim zagadnienie urzędnicze w Polsce zostanie w całości rozwiązane. Z jednej strony usprawnienie machiny administracyjnej wraz z koniecznemi oszczędnościami budżetowemi, z drugiej sprawa egzystencji olbrzymiej ilości pracowników umysłowych — wytwarzają splot pytań niezmiernie drażliwych i trudnych do rozstrzygnięcia. We wszystkich tych sprawach bardzo poważną rolę odgrywają wszelkie stowarzyszenia urzędnicze. Tembardziej, że urzędnicy, a zwłaszcza urzędnicy państwowi są dobrze zorganizowani i należą do swoich związków w bardzo znacznej ilości.

Jeden z wybitnych działaczy w sferze urzędniczej udzielił nam interesujących informacyj, które ułatwić mogą w znacznej mierze zrozumienie, jak się przedstawia dzisiaj masa urzędnicza w Polsce.

— Posiadamy — mówił — trzy wielkie centrale pracowników państwowych, a mianowicie: 1) Centralna Komisja Porozumiewawcza Związków Pracowników Państwowych. Prezesem jej jest dr. Henryk Raabe, sekretarzem Zenobjusz Duda. W organizacji tej przeważają wpływy opozycyjne i radykalne, 2) W r. 1928 powstała nowa centrala urzędnicza pod nazwą Ogólne Zrzeszenie Związków i Stowarzyszeń Funkcjonarjuszy Państwowych. Przewodniczy tutaj dr. Stanisław Gołąb, nastroje są opozycyjno-prawicowe o charakterze społecznie umiarkowanym, 3) Wreszcie w 1930 r. powołano do życia Zjednoczenie Związków i Stow. Pracowników Państwowych z dr. Marjanem Filipkiem na czele. Organizacja ta ma wybitny charakter prorządowy i podlega Blokowi Bezpartyjnemu.

— Czy to już wszystko?

— Poza temi trzema wielkiemi centralami istnieje jeszcze kilka poważnych związków, działających na uboczu. A więc Związek Nauczycielstwa Polskiego, który pomimo znacznych wpływów B. B., licząc się z nastrojami, do wyżej wymienionego Zjednoczenia nie przystępuje. Dalej mamy jeszcze Związek Pracowników Pocztowych z przewodniczącym posłem z klubu B. B., p. Stangreciakiem, oraz bardzo poważne Stowarzyszenie Urzędników Państwowych, na którego czele stoi dr. Warmski. Szereg symptomatów wskazuje, że S. U. P. znajduje się na rozdrożu i objawia coraz to bardziej wzrastający pęd ku radykalizacji. A wreszcie Zjednoczenie Kolejarzy Polskich, organizacja opozycyjna i prawicowa.

— Widać z tego, że urzędnicy są bardzo rozproszeni po rozmaitych stowarzyszeniach...

— Mamy jednak wielką instytucję centralną, a mianowicie Naczelny Komitet Pracowników Państwowych, do którego należą niemal wszystkie związki zawodowe i wszystkie organizacje opozycyjne. Ten Naczelny Komitet liczy około 200.000 członków, w tem samych kolejarzy około 120.000.

— A ilu mamy wogóle pracowników państwowych?

— Jest ich około 400.000, z tego 180.000 kolejarzy, 30.000 zgórą pocztowców, 80.000 nauczycieli, 50,000 urzędników administracyjnych i około 40.000 niższych funkcjonarjuszy. Z tej całej masy zorganizowano około 300.000, czyli 75% wszystkich. Reszta chodzi luzem. Najpoważniejszą siłę bojową reprezentują kolejarze i pocztowcy, natomiast inne grupy odznaczają się raczej powagą moralną.

— A pracownicy samorządowi są również zorganizowani?

— Owszem, posiadają oni Radę Naczelną Związków Pracowników Samorządowych, w której skupia się około 30.000 osób.

— Pozostali nam jeszcze urzędnicy prywatni...

— Ci są źle zorganizowani, albowiem do Centralnej Organizacji Pracowników Umysłowych należy zaledwie 40.000 osób. Na czele ich stoi pos. Dabulewicz z klubu B. B.

— Jakie są nastroje wśród pracowników umysłowych? Pan przecież te nastroje zna doskonale...

— Zapewne, wiem, co się dzieje i w stolicy i na prowincji — rozmawiam, jeżdżę. Otóż niewątpliwie wzmaga się radykalizacja; dół żąda akcji jak najbardziej energicznej. Przyczyniły się do tego nietylko ostatnie wypadki, ale i postępująca już od dłuższego czasu przemiana inteligenta na robotnika umysłowego.

— Czy to się wyraża w sympatjach do socjalizmu?

— Niezupełnie, jestem pewien, że nawet P. P. S. nie może marzyć o pozyskaniu dla siebie urzędników. Bo ten robotnik umysłowy odznacza się cechami indywidualistycznemi, nawet anarchistycznemi. Chce on za wszelką cenę zachować swoją niezależność, boi się wszelkich partyj, wszelkiego życia partyjnego. Jest to zawsze ten sam radykał polski, który nieraz radykalizmem swoim przewyższa najradykalniejsze partje, ale mimo wszystko nie da się podciągnąć pod strychulec partyjny. A poza tem jest po swojemu dobrym patrjotą...

— A czy można mówić o wpływach komunistycznych?

— Są one minimalne, przejawiają się w bardzo nieznacznej mierze na terenie ruchu zawodowego. Wogóle należy stwierdzić, że komunizm jest u nas raczej ukrytą siłą potencjalną, która tylko w jakichś bardzo szczególnych warunkach mogłaby się przerodzić w siłę kinetyczną... I dlatego trzeba powiedzieć, że problem urzędniczy jest w Polsce sprawą domową, wewnętrzną.

Del.

NOWY RZĄD W BUŁGARJI



Aleksander Malinow, szef stronnictwa demokratycznego, został prezesem Rady Ministrów, zatrzymując dla siebie tekę Ministra Spraw Zagranicznych.

w niemczech i w anglji





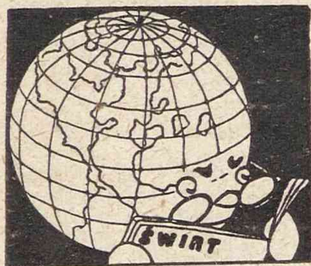


1. W londyńskim Albert Hall odbyła się olbrzymia manifestacja kobiet na rzecz pokoju. Na trybunie honorowej siedzieli razem: Mac Donald, Baldwin i Lloyd George

2. Marszałek polny Mackensen w otoczeniu generalicji niemieckiej przyjmuje defiladę reprezentacji pułków kawaleryjskich, które brały udział w wojnie. Manifestacja odbyła się w Dreznie

3. Zawieszenie wypłat przez banki niemieckie. Krach Donatbanku. Ludność niemiecka u wrót banku na Nollendorfplatz w Berlinie

Fot. The New York Times



TYDZIEŃ ŚWIATA

(Wig.). Kanony protokułu dyplomatycznego narówni ze zwyczajami zwykłej kurtuazji okazały się bezsilnemi wobec naglących wymogów życia.

Oddawna 19-y i 20-y lipca były upatrzone, jako daty rewizyty Mac Donalda i Hendersona u ministrów niemieckich, którzy przed miesiącem bawili w Chequers. Już nawet Henderson wyjechał z Londynu do Berlina, wstępując po drodze do Paryża „dla zwiedzenia Wystawy Kolonjalnej". Premjer angielski miał samolotem przybyć wprost do Niemiec. Na narady angielskich i niemieckich mężów stanu upatrzono zaciszną leśniczówkę, gdzie wyfraczonych lokai miała zastąpić jasnowłosa Gretchen, a obowiązującą codzień partję golfa — spacer z flintą na ramieniu.

Tymczasem sielanka rozwiała się. Henderson utknął nad Sekwaną, a nadto Brüning i Curtius podążyli tam na nieprzyjemne rozmowy z Lavalem. Zresztą przy stołach, zasłanych zielonem suknem, to znów nakrytych śnieżnej białości obrusem, zasiedli też pp. Mellon i Stimson — ze Stanów Zjednoczonych, włoski minister spraw zagranicznych Grandi, jego belgijski kolega Hymans, ambasadorJaponji, poseł Austrji w Paryżu, no i naturalnie minister Henderson, oczarowany pięknem lasku Vincennes.

Konferencje, odbyte w tym pełnym zespole i w różnych cząstkowych kombinacjach, nie dały jednak pozytywnego wyniku, a oficjalny komunikat wprost doniósł, że ministrowie niemieccy opuścili Paryż „bez goryczy w sercu, lecz z uczuciem żalu, które podzielają ich koledzy francuscy"... Nadto zaś przytoczył słowa kanclerza Brüninga: „Tragedją w stosunkach francusko niemieckich jest to, że nie możemy wypowiedzieć tego samego słowa w tej samej minucie".

Sielanka, projektowana na 19 — 20 lipca, zamieniła się w tragedję.

. . . .

Podczas rozmowy premjera Lavala z kanclerzem Rzeszy poruszono też sprawę zbrojeń niemieckich—w pierwszej mierze wymierzonych przeciwko Polsce. I dziwnem zrządzeniem losu cała prasa paryska wystąpiła z doskonale dobranym akompanjamentem do duetu tych dwóch solistów dyplomacji.

W szeregu pism ukazały się sprawozdania o rewelacyjnej książce gen. Władysława Sikorskiego: „Polska i Francja", która świeżo wyszła w tłumaczeniu francuskiem p. t. „Probléme de la paix".

Przedmowę do niej napisał wielokrotny minister i premjer Painlevé, zapewniając książce powodzenie na rynku francuskim. To też pierwszorzędni politycy i publicyści omawiają jej treść i przytaczają dłuższe wyjątki, wśród których najczęściej powtarzają się pracowicie zebrane przez gen. Sikorskiego zestawienia wojennych przygotowań Niemiec:

„W Rzeszy Niemieckiej istniało w 1929 r. — 13.000 związków gimnastycznych, skupiających ponad 1.700.000 członków; około 2.500 związków atletycznych o przeszło 500.000 członków; do 10 tys. związków strzeleckich i 700.000 członków, biorących udział w strzelaniach związkowych; ponad 2.000 związków jeździeckich, liczących 250.000 członków; do 150 związków sportowo - lotniczych, które skupiają blizko 20.000 członków". Jest to więc wielka zakonspirowana armja, przekraczająca 3 miljony wzorowo wyszkolonych ludzi, do których należy dodać drugie tyle zorganizowanych w oddziałach przysposobienia wojskowego i stowarzyszeniach byłych wojskowych ze „Stahlhelmem" na czele. „Całokształtem wojskowych prac wymienionych stowarzyszeń kieruje Reichswera, względnie Schupo".

DOOKOŁA KRYZYSU FINANSOWEGO W NIEMCZECH



Dr. Hans Luther, prezes niemieckiego „Reichsbanku", prowadzi pertraktacje z francuskimi, angielskimi i amerykańskimi politykami i finansistami w sprawie pożyczki dla Niemiec.



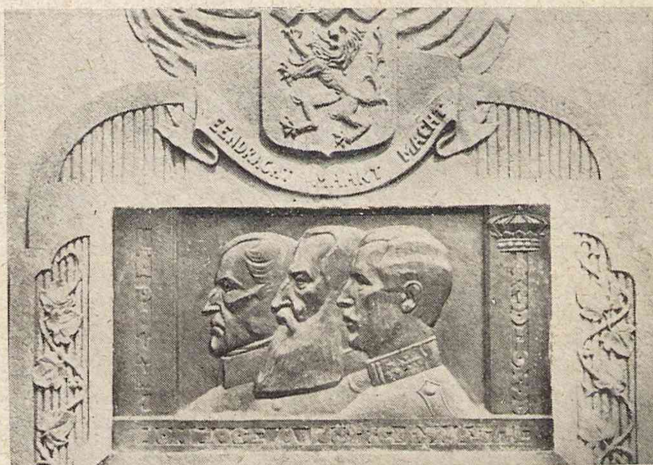
Sir Henderson, angielski minister spraw zagranicznych, bierze wybitny udział w pertraktacjach, usiłując łagodzić żądania polityczne Francji i podkreślając gospodarcze momenty w debatach.



Dr. Alfred Hugenberg, wódz nacjonalistów niemieckich, wielki przemysłowiec, stoi za kulisami rokowań. Wywiera on wpływ, by nie przyjmowano zobowiązań politycznych.

STULECIE BELGIJSKIEGO DOMU PANUJĄCEGO





19 LIPCA R. B. W PANNE, NA GRANICY FRANCUSKIEJ, ODBYŁY SIĘ OLBRZYMIE NANIFESTACJE KU CZCI BELGIJSKIEJ DYNASTJI PANUJĄCEJ. W DOMKU WIDOCZNYM NA FOTOGRAFJI LEOPOLD I, BYŁ PODEJMOWANY PRZED STU LATY PRZY SWOIM WJEŹDZIE DO BELGJI. OBECNIE ZAMIESZCZONO TAM PLAKIETĘ Z PODOBIZNAMI LEOPOLDA I, LEOPOLDA II I ALBERTA I

Fot. Photo-Plat

Równie wymowne cyfry i fakty przytacza gen. Sikorski o marynarce wojennej niemieckiej, o lotnictwie, o przemyśle chemicznym, budżecie wojskowym, materjale mobilizacyjnym, zaopatrzeniu technicznem i t. d.

I cały ten nabój rewelacyj o zbrojeniach Niemiec wybuchł w „L'Oeuvre", w „L'Ere Nouvelle" w „L'Ordre", w „Revue des deux mondes", w „L'Action Française", w „Figaro" i t. d. akurat podczas przyjazdu Brüninga i Curtiusa po pożyczkę „pokojową".

Generał Sikorski dobrze wycelował.

. . . .

(W.). Pierwszy kwartał bieżącego roku budżetowego 1931/2 dał okrągłe 100 miljonów deficytu, pomimo zmniejszenia budżetu, pomimo jego kompresji w wydatkach, obcięcia pensji urzędniczych i t. d.

To też zarządzono dalsze oszczędności. Ministerstwo Komunikacji skasowało 84 pociągi, uwzględnione w letnim rozkładzie; Ministerstwo Poczt i Telegrafów przystąpiło do likwidacji urzędów pocztowych mniej ruchliwych i do zmniejszenia personelu, chociaż nasza sieć pocztowa i tak jest bardzo rzadka w porównaniu z Europą. Najboleśniejsze jednak redukcje odbywają się w Ministerstwie oświaty. W szkolnictwie powszechnem i średniem setkami zmniejsza się ilość etatów nauczycielskich; przeciętna liczba dzieci, przypadająca na jednego nauczyciela, podniesie się w roku przyszłym z 50 do 60. Kasuje się etatowe stanowiska lekarzy i sekretarzy szkolnych.

Słowem — cofamy się planowo i systematycznie w rozwoju kulturalnym na pozycje przedwojenne, t. j. przedniepodległościowe.

. . . .

(Spr.). Mimo utyskiwań na ciężkie czasy i nawoływań do „zaciskania pasa", robimy wszystko, aby na niektórych polach dorównać kroku bogatszym państwom. Zwłaszcza w dziedzinie sportu i przysposobienia wojskowego nie dajemy się zakasować.

Właśnie w tym roku na Polskę przypadł honor organizowania międzynarodowych zawodów strzeleckich, myśliwskich i łucznych o mistrzostwo świata. Zawody odbędą się we Lwowie i trwać mają przez ostatni tydzień września i pierwszy tydzień października. A na jak wielką skalę zapowiada się ta piękna impreza, świadczy fakt, że sam personel administracyjny i techniczny strzelnicy składać się będzie z przeszło 600 osób.

Na czele tego olbrzymiego aparatu stać będzie prezydjum Komitetu Organizacyjnego oraz 60 kierowników poszczególnych działów. Każdy z nich wysila się, aby zawody lwowskie wypadły pod wszystkiemi względami wyżej od podobnych konkursów, organizowanych w innych krajach. Nie szczędzi się więc kosztów ani zabiegów, byle wystąpić wspaniale. Wszyscy uczestnicy międzynarodowego Kongresu Strzeleckiego i poprzedzających go narodowych zawodów eliminacyjnych korzystać będą na kolejach polskich z 80% zniżki.



Na skutek odezwy Komitetu Organizacyjnego do społeczeństwa posypały się, jak z rogu obfitości, ofiary na ustanowienie nagród honorowych i pieniężnych. M. in. ofiarowali: Prezes Rady Ministrów — 1500 zł., Minister spraw wewnętrznych — cenną makatę, Minister spraw wojskowych—1750 zł., Kwatera Główna Ministra spraw wojskowych — 1500 zł., Szef Departamentu Piechoty M. S. W.—1500 zł., Szef Sztabu Głównego — 1000 zł., Państwowy Bank Rolny, Bank Gospodarstwa Krajowego, Poczt. Kasa Oszczędn. — po 1000 zł. Pozatem szereg nagród honorowych i pieniężnych nadesłali: Minister robót publicznych, Minister reform rolnych, Minister poczt i telegrafów, Państwowa Wytwórnia Uzbrojenia, Dowódca K. O. P., Wojewoda krakowski, Komenda garnizonu i placu m. st. Warszawy, Komenda Główna Policji i t. p.

Jak widzimy, ofiarność u nas jeszcze nie zanikła.

Przyjacielskie sobie pogadanie

Nasi dwaj dobrzy znajomi, pan Piperment i pan Futermuter, siedzieli nad szklanką wody sodowej z malinowym sokiem i przyjemnie rozmawiali. Tematy dziś podejmowali akademickie, uniwersyteckie, bezinteresowne i roztrząsali je sposobem sztuki dla sztuki, dla samej przyjemności intelektualnej, nie dbając o marne korzyści materjalne (nie samym zarobkiem człowiek żyje). Pan Piperment zapytał naprzykład pana Futermutera, coby pan Futermuter zrobił, gdyby się jutro obudził w swojem łóżku nie jako Futermuter, ale jako prezydent Hoover.

— Jabym się przedewszystkiem uszczypnął, żeby się przekonać, czy ja się już naprawdę obudziłem.

— A potem?

— Pan pewnie myślisz, panie Piperment, że jabym przedewszystkiem tutaj przyleciał na aeroplanie, żeby panu powiedzieć, jak się panu powodzi?! Pan mnie nie znasz, panie Piperment. Jabym zaraz podniósł kurs dolara.

— Czy nie zaprędko, panie Futermuter? Ledwoś się pan uszczypał, już pan podnosisz dolar?!

— Przez polski patrjotyzm, panie Piperment.

— Jakto?

— Pan nie wiesz, kto teraz kupuje dolary w Warszawie?! Niemcy. Przez swoich agentów. Bo potrzebują na spekulacje. Niech polskie żydki przez te kilka dni zarobią na zwyżce, a kantorowicze Hindenburga niech do tego interesu cokolwiek dołożą!

— Nie wiedziałem, panie Futermuter, że pan masz takie szerokie horyzonty światopodglądowe.

— I wogóle, panie Piperment, jabym odrazu zaprowadził rozbrojenie. Tutaj leży pies całej tajemnicy ekonomicznej świata. Dolar jest, panie, dolar. Pan wiesz, co można mieć za dolary? Pan się zapytaj, czego nie można! Jeżeli się dzisiaj budzę Hoover, jutrobym zbankrutował Hitlera i takąbym zrobił propagandę w Prusach za kurytarzem pomorskim, że sami Niemcy krzyczeliby nagwałt z zachwytu! Im przeszkadza kurytarz! Co pan na to, panie Piperment? Nam nie przeszkadza, a im przeszkadza! Delikaciki!

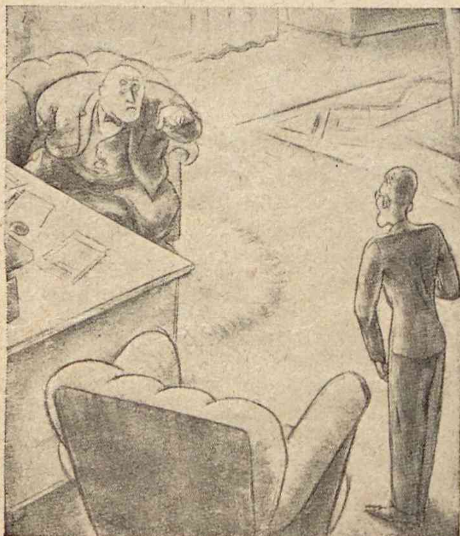
— Szalenie mnie pan podniecasz, panie Futermuter. Każ pan dać jeszcze szklankę wody z sokiem.

— Jeszcze nie jestem Hoover, panie Piperment. Dopiero jak będę Hoover, śmiało licz pan na mnie z sokiem, czy nawet bez.

— Dziękuję panu, panie Futermuter, to jest na wylot amerykańska odpowiedź, pan już jesteś Hoover, tylko pan jeszcze nie masz pieniędzy. A cobyś pan zrobił osobiście dla samego siebie, żebyś pan był Hoover?

— Jabym się w jednej chwili przeniósł do New - Yorku. Pan myślisz, że ja lubię Nalewki i mojego teścia, starego lichwiarza, który widzi, jak mi jest ciężko, i jeszcze mnie wyzyska we wspólne operacje finansowe, jak wroga? New - York jest też żydowskie miasto, ale czyste, nowoczesne, konfortabl, szykarne, filosemickie. Teściabym zostawił tutaj, niech mu się całe Gęsiagas kłania i niech mu pocichu życzy wykręcenia wszystkie kości w drugie strone. Pan wiesz, panie Piperment, że ten łobuz nie płaci, chociaż ma gotówkę? On się powołuje na te kryzys! On jest głupi, bo zwiększając ogólną niewypłacalność, on sam sobie szkodzi, ale on jest chciwy. Na chciwość niema rady, oprócz więzienie. Nawet bić nie pomaga. Dopiero siedzieć kilka lat pomaga. Pomaga przez te kilka lat. Zgadnij pan, panie Piperment, co on sobie życzył na urodziny, mój teść? Życzyli mu zdrowia, życzyli mu pieniędzy, a on odpowiedział: „Co do zdrowie, to się zanosi, że kilka razy przeżyję mojego zięcia; a co do pieniędze, to niech ja mam swój własny trybunał, i miljarder jestem lada dzień!" Jemu się zachciewa mieć własny sąd, jak się ma własny kantor!

— Fundamentowo rzecz biorąc, myśl jest dowcipna, panie Futermuter. Ona nie jest *realisable*, ale pomarzyć wolno. I *Ojciec zadżumionych* tyż jest miła fantazja poetycka, niemożliwa do zrealizowania na codzień, ale nikt z tego nie robi wyrzuty poecie. Dziedzina poezji, dziedzina urodzinowej zadumy, imieninowego i chciałabym i boję się, ma swoje prawa w szarem życiu ludzkiem na tym padole podłości.



— Przypomniałeś mi pan! Jeszcze jeden powód do wyjechania na przeciwległy półglob, panie Piperment. W New-Yorku nie masz pan żadne nazwe uliczne, masz pan same numery. U nas codzień przybywa dziesięć ulic nazwanych pamiątkowemi nazwiskami. Nigdzie trafić nie można! Idź pan, panie Piperment, ja pana proszę, na ulicę Kniaźnina. Jeden, albo na Bohomolca Trzy, albo na Dygasińskiego Dwanaście! Całe takie dzielnice powstają, panie Piperment! Pan się nie możesz ruszyć na miasto bez sześciotomowy podręcznik literatury Chmielowskiego! Ja teraz wiem, dlaczego szoferzy czytają tyle książek! Dla orjentacje. Oni sobie wbijają w głowę, panie Piperment, plan stolicy. Mówi mu naprzykład pasażer: „Ulica Dygasińskiego!" On chwileczkę myśli, potem się uderza pięścią w czoło: „Ach, wiem! — woła do siebie — *„Gody życia"*, *„Wilk, psy i ludzie"*, *„Puszcza"*! — Przekręca kierownicę nad Wisłę i daje gazu. Trzy złote dwadzieścia z Placu Teatralnego. „Park Żeromskiego"! — mówi pasażerka. Szofer myśli, myśli, nic sobie nie przypomina, a pasażerka powiada, widząc że się taksówka nie rusza: „Jakto, pan nie czytał *„Dzieje grzechu"*? Szofer się znów uderza w czoło, wykrzykuje radośnie: „Ewa Pobratyńska!" i jedzie. A kiedy mu powiedzą: „Czarna Struga!" — szofer sobie myśli: „Wiem, wiem: *Dzieje jednego pocisku, Pokolenie Marka Świdy, Robotnik*, opozycja. Daj pan pokój, panie Piperment, zbyt wielkie wykształcenie się wymaga dzisiaj od przeciętnego warszawianina, a szofer warszawski musi być zawodowy krytyk literacki! Tego nigdzie niema. Ja rozumiem, panie Piperment, że się może zdarzyć dorożkarz w Londynie, wielbiciel ministra Dizraëla, który pisał powieści, i powie mu: „Ja pana znam, panie minister, ja pana szanuję, ja czytałem wszystkie pańskie powieści". Nawet przypuśćmy, że połowę skłamał. Rozumiem i to, panie Piperment. Z ministrem się inaczej rozmawia, niż ze zwyczajnym pa-

sażerem. Ale u nas to jest niemożliwe, panie Piperment, nawet teraz, kiedy pan minister Prystor skasował połowę rządowych samochodów, bo który nasz minister pisze powieści?

— Panie Futermuter, pan się posuwasz! Minister może pisać powieści, ale on nie musi. Jemu wystarczy, że on ministruje. Niech lepiej o nim piszą powieści, jak o ministrze kardynale Richelieu dramaty i obrazy kinematograficzne, niż żeby on sam pisał jakieś *Rabinowe noce*, które nie wiadomo dlaczego są rabinowe, albo *Przeprowadzkę*, które nie wiadomo dlaczego jest takie ważne.

— Tego pan nie mów, panie Piperment. Na ostatnie przeprowadzke mój teść zarobił ładny kawałek grosza z moje osobiste strate. Oj, zdenerwowałeś mnie pan z te przypomnienie. Interes był wspólny, a zarobił na nim tylko mój teść. Widzisz pan, jak on postępuje? On wszędzie przeciwko mnie! On jest wyraźny antysemita! Już teraz wiem, cobym zrobił, gdy będę prezydent Hoover. Wydam surowy zakaz, tak zwane gardłowe prawo, amerykański lincz, na wszystkie antysemity pochodzenia żydowskiego".

— Tuś pan utrafił w sam środek, panie Futermuter. Dopiero się stratosfera społeczna oczyści i zapanuje ekonomiczne zaufanie.

Wacław Grubiński

Wywczasy naszych znakomitości

Wynalazek ochrzczony mianem wywczasów należy niewątpliwie do najpożyteczniejszych. Wyzwalając człowieka z kieratu codzienności, dają one — w zetknięciu z przyrodą i jej pięknem — wypoczynek myślom, ukojenie nerwom, przypływ energji i inicjatywy.

Mimo pozorów, nie szkodzą wywczasom nawet „ciężkie czasy": im mniej jest radości w życiu codziennem, tem większa tęsknota do beztroski wakacyjnej. A że zamiast badów zagranicznych wybiera się uzdrowisko krajowe, pensjonat w cichym, polskim dworze, lub wręcz autentyczną wieś gdzieś na Hucułach czy w lasach tucholskich — nie jest to bez niemałej dla kraju korzyści. „Bedaekera" zastępuje rodzimy „Orłowicz", a geografja letnich wywczasów staje się poglądową lekcją krajoznawstwa.

Trudno: jesteśmy za biedni, by nadal lekceważyć wielorakie walory krajowej klimatyki i turystyki. Ale dokąd jechać?

*

Pan PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ, prof. Ignacy Mościcki, wyjechał na dłuższy pobyt do uroczej Wisły.

Pan MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI spędza lato w ulubionych Pikiliszkach na Wileńszczyźnie.

Szef rządu, premjer pułkownik ALEKSANDER PRYSTOR, wobec nawału prac, związanych z obecną sytuacją gospodarczą kraju, nie może narazie myśleć o wypoczynku, conajwyżej na jakie dwa tygodnie wpadnie do swego mająteczku Borki na Wileńszczyźnie, położonego nieopodal Pikiliszek.

Niewiadomo również, czy i kiedy wyjadą na urlop minister skarbu, p. JAN PIŁSUDSKI i minister spraw wewnętrznych, p. BRONISŁAW PIERACKI, którzy w swych resortach mają nawał ważnych i pilnych prac.

Minister spraw zagranicznych, p. AUGUST ZALESKI, kończy już wkrótce urlop, spędzony częściowo tylko zagranicą, a w pozostałej części w związku z uroczystościami wilsonowskiemi w Poznaniu — we dworze wielkopolskim u krewnych.

Minister przemysłu i handlu, gen. br. dr. FERDYNAND ZARZYCKI, wskutek chwilowej niedyspozycji, zmuszony był przerwać urzędowanie i dopiero po powrocie do zdrowia zadecyduje, czy i kiedy rozpocznie urlop.

Choruje również minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, dr. SŁAWOMIR CZERWIŃSKI.

Miarą uznania czynników rządowych dla walorów klimatycznych perły uzdrowisk polskich — Krynicy służyć może fakt, że spędzają tam urlopy aż trzej członkowie rządu: minister rolnictwa i dóbr państwowych, dr. LEON JANTA - POŁCZYŃSKI, minister poczt i telegrafów, inż. IGNACY BOERNER, minister sprawiedliwości, CZESŁAW MICHAŁOWSKI, nadto szef służby zdrowia, dr. EUGENJUSZ PIESTRZYŃSKI.

Minister robót publicznych, gen. dyw. dr. MIECZYSŁAW NORWID - NEUGEBAUER leczy się w Truskawcu.

Minister komunikacji, inż. ALFONS KUHN bawi we Francji, natomiast minister pracy i opieki społecznej, gen. STEFAN HUBICKI, uważając, że Krynica jest nieco zadroga, wybrał sobie za miejsce wywczasów jedną z mniejszych i zacisznych miejscowości Podhala.

Prezes Banku Polskiego, dr. WŁADYSŁAW WRÓBLEWSKI, spędza urlop w Zakopanem, prezes Banku Gospodarstwa Krajowego, dr. ROMAN GÓRECKI, wobec nawału zajęć rezygnuje z urlopu letniego. W podobnej sytuacji znajduje się również prezes Państwowego Banku Rolnego, p. SEWERYN LUDKIEWICZ.

Z pośród polityków czynni są obecnie, mimo kanikuły: prezes Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, b. premjer, pułkownik WALERY SŁAWEK, oraz b. minister poczt, redaktor naczelny „Gazety Polskiej", pułk. BOGUSŁAW MIEDZIŃSKI, których wywczasy stoją narazie pod znakiem zapytania.

B. marszałek Sejmu, poseł IGNACY DASZYŃSKI, przebywa obecnie w sanatorjum w Bystrej, zaś b. marszałek Sejmu i Senatu, WOJCIECH TRĄMPCZYŃSKI spędza lato w swoim majątku w Poznańskiem.

Przywódca Stronnictwa Ludowego, poseł WINCENTY WITOS przebywa u siebie, w Wierzchosławicach, wyjeżdżając co pewien czas na sesje władz stronnictwa do Warszawy lub na zjazdy prowincjonalne. B. minister, dr. WŁADYSŁAW KIERNIK zalecony ma przez lekarzy dłuższy pobyt zagranicą; związany jednak prowadzeniem kancelarji adwokackiej i różnorodnemi obowiązkami, zamierza jedynie skorzystać z krótkiego pobytu w któremś z uzdrowisk krajowych.

Naczelny redaktor „Robotnika", poseł MIECZYSŁAW NIEDZIAŁKOWSKI spędza wywczasy na Wileńszczyźnie, jego zaś kolega partyjny, poseł dr. HERMAN LIEBERMAN, wyjechał w celach kuracyjnych zagranicę.

Poseł profesor STANISŁAW STROŃSKI bawi w Paryżu na Wystawie Kolonjalnej, resztę zaś lata swoim zwyczajem spędzi na Podkarpaciu; redaktor naczelny „Myśli Narodowej", ZYGMUNT WASILEWSKI, wybiera się na wywczasy do Wisły albo w góry.

Nestor pisarzy polskich, ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI, coraz rzadziej opuszcza swą Gołotczyznę, gdzie też i obecnie znajduje się.

Laureat nagrody państwowej, FERDYNAND GOETEL, reprezentujący Polskę na kongresie Pen-Clubów w Amsterdamie, przedłużył swój pobyt w Holandji, skąd zamierza udać się na zwiedzenie Wystawy Kolonjalnej w Paryżu.

Drugi laureat, JULJUSZ KADEN BANDROWSKI, przebywa w Rabce.

Świetna autorka „Dnia jego powrotu", ZOFJA NAŁKOWSKA stwierdza, że lato obecne nie układa się jej bynajmniej w projekcji odpoczynku. Najbliższe tygodnie spędzi na wsi, — jak powiada — w „Domu nad łąkami" i poświęci na opracowanie nowej sztuki teatralnej, a pod jesień projektuje wyjazd do Grecji, zaraz zaś potem wyprawę do Kopenhagi na premjerę „Domu kobiet".

Autor „Ostatniego filmu Evy Evard" ANDRZEJ STRUG, spędza lato na Pomorzu.

Siewca humoru, KORNEL MAKUSZYŃSKI nie wie jeszcze, czy w tym roku będzie pisywał słynne swe listy z Zakopanego, czy też z Gdyni.

Ceniony poeta, autor „Lauru Olimpijskiego", KAZIMIERZ WIERZYŃSKI wybiera się do Jastrzębiej Góry.

FERDYNAND ANTONI OSSENDOWSKI podróżuje po Jugosławji, a następnie pojedzie do Paryża na Wystawę Kolonjalną.

Znany esteta i literat, b. minister, ZENON MIRIAM - PRZESMYCKI nie myśli nawet o wypoczynku, przeznaczając najbliższe 3 — 4 miesiące pracy nad Norwidem i Hoene - Wrońskim.

Równie niechętnie rozmawia o projektach wywczasowych imponujący niespożytą pracowitością dr. TADEUSZ ŻELEŃSKI - BOY.

Niezbyt wesołe nastroje panują wśród plastyków, dotkliwie odczuwających obecny kryzys.

Bodaj najbardziej odporny na pesymizm, „Ikar z paletą", profesor TADEUSZ PRUSZKOWSKI, nie wybiera się już w tym roku, jak ongi, do Kazimierza, który zresztą obmalowany został przez jego brać artystyczną „od góry do dołu" — lecz do Sandomierza, gdzie właśnie świeżo otwarto lotnisko, co umożliwi prof. Pruszkowskiemu odrywanie się od pracy w kole swych uczniów dla pofrunięcia do Warszawy na obiad lub na czarną kawę w Ziemiańskiej.

Prof. WOJCIECH JASTRZĘBOWSKI, wybiera się w góry albo nad morze, i profesor JÓZEF CZAJKOWSKI — poprostu na wieś.

Jaknajdalej od kryzysowych nastrojów ucieka STEFAN NORBLIN, wybierający się w tym roku kajakiem na Szczarę i Niemen.

Oficjalny zaś orędownik braci artystycznej, profesor WŁADYSŁAW SKOCZYLAS za teren tegorocznych wywczasów wybrał Huculy.

Wśród braci aktorskiej niezbyt chętnie mówi się o wakacjach, poprostu dlatego, że nie każdy sobie może na nie pozwolić. Będą więc grać przez lato: KAZIMIERZ JUNOSZA - STĘPOWSKI, MIECZYSŁAWA ĆWIKLIŃSKA, BOGUSŁAW SAMBORSKI, JÓZEF WĘGRZYN.

Jeden tylko ANTONI FERTNER wypoczywa pod lazurowem niebem, w Montecattini, skąd czyni wypady do Monte Carlo i Paryża. Ale na to trzeba być takim szczęściarzem, jak Fertner.

Król tenorów polskich, IGNACY DYGAS, wymyka się „pocichutku" do Morszyna, a stamtąd w góry, jaknajdalej od sztuki, muzyki i ludzi.

Wesołe bractwa „Morskiego Oka" i Qui pro quo" wyruszają na podbój Lwowa, a potem dopiero dokąd się da. Nic też dziwnego, że ani rozkoszna ZULA POGORZELSKA, mająca obecnie za towarzyszkę przemiłą STANISŁAWĘ KARLIŃSKĄ, ani świetny FRYDERYK JAROSSY, niezrównany wesołek KAZIMIERZ KRUKOWSKI, ani kochająca się para małżeńska DYMSZOWIE — nie byli zdecydowani przed opuszczeniem Warszawy, dokąd ich bogowie lub własne auta poniosą.

Jedynie jowialny, niezawodny WŁADYSŁAW WALTER miał wyraźne plany, choć po uszy zawalony jest pracą. Boć trzeba wiedzieć, że niesyt sukcesów scenicznych i filmowych, zabrał się na dobre do budownictwa, wznosząc sobie imponujący pałac w parkowej dzielnicy Czerniakowa. A że sam — jak się chwali — nosi cegły i roboty pilnuje, więc rychło budowla zostanie wykończona.

wkw

CO CZYTAĆ?

PIÓRA KOBIECE.

Regjonalizm jest teraz modny. Prąd ten nie przynosi jednak artystycznych rewelacji. Przeważnie otrzymujemy ułamki miejscowego folkloru, obyczajowości, krajobrazu. Nie należy tracić nadziei: może z tego ruchu powstanie dzieło, godne hasła czy programu!

Zbiór opowiadań p. Heleny Romer - Ochenkowskiej p. t. „Tutejsi" czyni zadość tym tendencjom beletrystycznym. Poznajemy z tych narracji Białoruś z jej leśnym krajobrazem, ludźmi szarymi, ubogimi, przyzwyczajonymi do twardego losu. Chłop-katolik nie wie, do jakiej należy narodowości. Ostrożnie, przezornie określa swoją przynależność przez określenie: tutejszy. Na nędzę swoją patrzy fatalistycznie: przywykł. Wszystkie swoje cierpienia sprowadza do ... nawyku...

Dwór, ostoja polskości, kultury, katolicyzmu, przed wojną oddziaływał na otoczenie dosyć słabo. Moskale pilnie strzegli „obrusienia" tych stron. Czy teraz zmieniły się stosunki? Nad ziemiami temi roztoczył swe władanie rząd Rzeczypospolitej: chwiejna polityka w pierwszych latach wyrządziła dużą krzywdę świadomości społecznej i narodowej.

P. Helena Romer - Ochenkowska w tomie „Tutejsi" zebrała dwanaście opowiadań: „Pokutnicy", „Niedźwiedzia przysługa", „Karjera Anciutki", „Jaszczur", „Mowa nocy", „A ono powiedziało swoje", „Czary panjelandu", „Psie serce", „Baba z Kozłów", „Śnił sen", „Brzoza - bliźniaczka" oraz „Posłowie". Charakterystyczny jest portret „Baby z Kozłów". Obyczajowość ludzi ubogich z tych stron została uwydatniona bez karykatury. P. Romer - Ochenkowska nie tuszuje jednak ciemnoty, zabobonów, śmieszności i tragedji zespołu ludzkiego, obracającego się dookoła tej „baby z Kozłów". „Karjera Anciutki" nie jest może zjawiskiem typowem. Anciuta — to wyjątek, jak i jej uroda leśna, dzika, niemal egzotyczna. Kilka obrazków osnuła autorka na przeżyciach z okupacji niemieckiej tych stron. Dużo ekspresji udało się jej wydobyć z opisów przyrody. Obrazki p. Romer - Ochenkowskiej robią wrażenie kroniki beletryzowanej: są prawdziwe w anegdocie, w opisie przyrody, zwierząt, ludzi. Przyjemnie wzrusza opowiastka p. t. „Psie serce".

„Ghetto potępione" p. Kazimiery Alberti, autorki trzech zbiorów wierszy, jako powieść z życia żydostwa galicyjskiego, jest też utworem swoiście regjonalnym. Żydostwo ubogie, nie wyglądające poza obręb miasteczka, opisuje p. Alberti naturalistycznie, nie szczędząc barw ciemnych. Środowisko to wydaje jednak jednostki, którym dopisuje szczęście i powodzenie w życiu. Rodzina Grünszpanów może się poszczycić znakomitą śpiewaczką Reginą, gwiazdą operową Europy i Ameryki. Była ona szwaczką. Los jej się uśmiechnął. Sława i pieniądze upadły jej pod nogi. Będąc u szczytu powodzenia, odwiedza rodzinne miasteczko i bierze na wychowanie córkę ubogiego chałaciarza - brata, Różę. Dziewczyna ta jeździ z prymadonną, poleruje się, uczy się malować. Po niespodziewanej śmierci wielkiej Reginy waha się co do dalszego życia. Pozostawia na stronie sztukę i studjuje medycynę. Wróci ona do rodzinnego miasteczka nieść pomoc swoim współwyznawcom. Odbyło się to nie bez przygód. Róża spotkała na swojej drodze i kilku mężczyzn!

Powieść p. Kazimiery Alberti ciekawsza jest w części, opisującej obyczaje biednego żydostwa galicyjskiego. Stronice operowo - wielkoświatowe przypominają szablon filmowy.

Ktoby chciał dowiedzieć się, czemu powieści p. Ireny Zarzyckiej cieszą się wyjątkową poczytnością, ma możność sprawdzić, biorąc do ręki nowy utwór tej autorki pod niebezpiecznym tytułem „Kłamstwo". Nie jest to regjonalistyka. Życie studenckie bywa zawsze wdzięcznym tematem dla beletrysty. P. Zarzycka sięgnęła do tego niezawodnego źródła i opowiedziała nam sercowe przygody studentki Reny i jej kolegi Bohdana. „Kłamstwo", choć jest kłamstwem, kończy się dobrze: Numa wychodzi za swego Pompiljusza, który zaawansował na śpiewaka rewjowego. Powieść przepojona jest niezawodną piosenkowo - włastowską atmosferą i może być uważana za ilustrację beletrystyczną do jednego z licznych tang.

E. C.

WÓDZ HINDUSÓW W BERLINIE



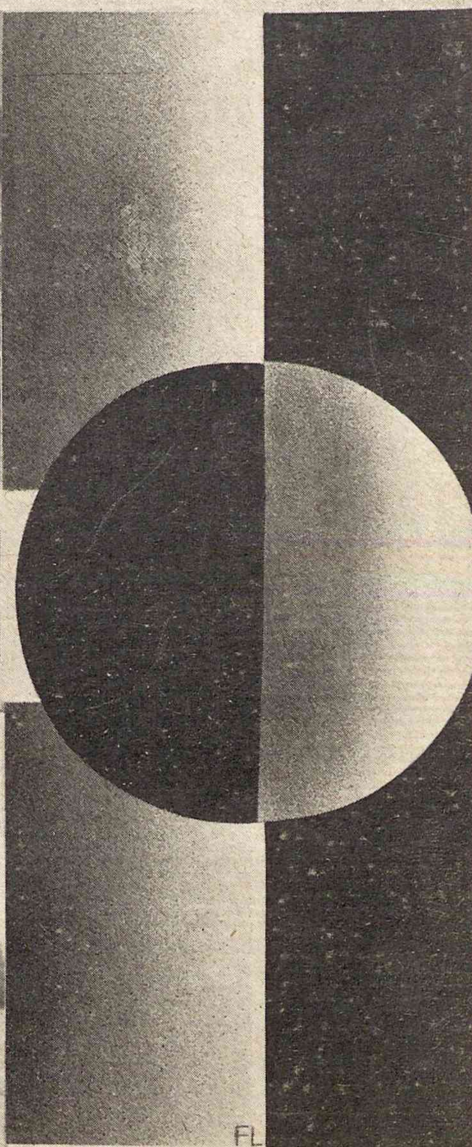
M. PATEL, BYŁY PRZEWODNICZĄCY HINDUSKIEGO ZGROMADZENIA NARODOWEGO. BAWI OBECNIE W BERLINIE W CELACH KURACYJNYCH. PRZESIEDZIAŁ ROK W WIĘZIENIU, CO NADSZARPNĘŁO JEGO ZDROWIE







Żniwa







JOHN GALSWORTHY.

SPRAWIEDLIWOŚĆ

Jeżeli, jak mówicie (rzekł Ferrand), we wszystkiem na tym świecie jest sprawiedliwość, to powiedzcie mi, gdzie ona się tu objawia?

Przed dwoma laty byłem tłumaczem w jednym z hoteli w Ostendzie i spędzałem wiele godzin na plaży, oczekując, aby parowce przywiozły mi baranki na rzeź. Pojawił się tam tego roku młody człowiek, który miał sklepik z tanią biżuterją; nie znałem jego nazwiska, gdyż w naszem gronie przezywano go Czuk-Czuk; ale jego znałem, gdyż my, tłumacze, znamy wszystkich. Pochodził z południowych Włoch i nazywał siebie Włochem, ale prawdopodobnie był żydem z Algieru, inteligentny chłopiec, który wiedział, że, poza Anglją, w dzisiejszych czasach jest niepraktycznie być żydem. Ale kto zobaczył jego nos i pięknie kręcące się włosy, wiedział, co ma o tem myśleć. Swoje ubranie dostał od angielskiego turysty — parę flanelowych spodni, stary surdut i sportowy melonik. Dziwaczna całość? Tak, ale pomyślcie, jaka niekosztowna! Jedyna rzecz, która zdawała się dopasowana do niego, to krawat. Rozpruł końce i nosił go bez kołnierzyka. Był mały i chudy i nic w tem dziwnego, gdyż jego całodzienne pożywienie składało się z pół funta chleba lub z odpowiedniej porcji makaronu z kawałkiem sera, a w dnie świąteczne z kawałeczka kiełbasy. W ubraniu, skrojonem na tęgiego mężczyznę, wyglądał jak strach na wróble z tą swoją piękną dużą głową. Ci „Włosi" to Chińczycy Zachodu. Ponieważ warunki życia są tam niemożliwe, uciekają więc, jak szarańcza lub dawniejsze azjatyckie hordy — prawdziwy najazd. W każdym kraju mają rodzaj stowarzyszenia, które im pomaga w rozpoczęciu jakiegoś przedsiębiorstwa. Gdy są już zaopatrzeni w katarynki, biżuterje lub inne akcesorja, odpowiednio do ich zawodu, żyją byle czem, nie piją i nie wydają na nic pieniędzy. Palą? Tak, palą; ale trzeba im dać tytoniu. Czasami przyjeżdżają z żonami, częściej samotni — wtedy dorabiają się łatwiej. Cel, który mają na widoku, to uciułanie jakich dwustu lub trzystu funtów, aby powrócić do Włoch jako bogaci ludzie. Jeśliście zwyczajni widywać Włochów u nich w domu, to was zadziwi, gdy zobaczycie, jak oni pracują, gdy są poza granicami swego kraju i jacy są zabiegliwi — prawdziwi Chińczycy. Czuk-Czuk był sam i pracował jak niewolnik. Dzień za dniem wystawał w swojej budzie, czy paliło słońce czy wicher dął; często bywał przemoczony do nitki, ale nikt nie mógł przejść koło niego, żeby nie wyszczerzył doń zębów i nie wyciągnął ręki z takiem lub owem świecidełkiem.Starał się zawsze robić wrażenie na kobietach — swojej głównej klijenteli — szczególniej na kokotach. Ach! jak on patrzył na nie swojemi wielkiemi oczami! Sądzę, że z natury był dość zepsuty, ale jak wiecie, to kosztuje sporo folgować swoim nałogom, a on nie wydawał pieniędzy. Jego wydatki wynosiły dziennie dwa pensy na pożywienie i cztery pensy na nocleg w hoteliku, pełnym innych ptaszków jego typu — czyli sześć pensów dziennie, trzy szylingi sześć pensów na tydzień. Żadna inna istota ludzka nie jest w stanie egzystować długo w ten sposób. Moje minimum jest dziesięć pensów i to jeszcze nie śpi się na różach; ale prawda, że nie mogę obyć się bez tytoniu (jakiś jeden nałóg jest niezbędny dla człowieka w ostatecznej nędzy). Ale ci „Włosi" dają sobie radę i bez tego. Zajęciem Czuk-Czuka była sprzedaż. Mówicie, że to nie jest bardzo ciężka praca? Sprobujcie-no przez pół godziny; sprobujcie i sprzedajcie coś porządnego — a towary Czuk-Czuka to była tandeta — jaskrawa biżuterja z korali, włoska emalja, oprawna jako szpilki i broszki i tanie celluloidowe wyroby. Wieczorami widywałem go często, jak drzemał ze znużenia, ale zawsze z oczami napół otwartemi, jak u kota. Duszą całą był w swoim sklepiku; obserwował wszystko, ale tylko dlatego, by sprzedawać swoje skarby; bo pozatem nic go nie interesowało; gardził całym, otaczającym go światem — ludźmi, morzem i rozrywkami; wszystko to było dla niego obce i śmieszne. Miał swoją budę i żył, aby sprzedawać. Był jak człowiek zamknięty w pudełku — bez jakiejkolwiek przyjemności, bez sympatji, bez niczego, coby mogło wedrzeć się do tego dziwnego świata, w którym przebywał.

— Pochodzę z Południa, mówił nieraz do mnie, wskazując głową na morze — o, tam jest ciężko. Mam tam dziewczynę. Nie będzie markotna, jak mnie zpowrotem zobaczy; o nie będzie! Tam się przymiera głodem, nom d'un saint — (zaklął w ten sposób, bo to brzmiało bardziej po chrześcijańsku) — o, jak tam ciężko!

Nie jestem usposobiony sentymentalnie dla Czuk-Czuka; był egoistą do dna duszy, ale to bynajmniej nie przeszkadzało mu cierpieć, tęskniąc za swojem Południem, za słońcem i swoją dziewczyną. Im większy egoizm, tem większe cierpienie. Tęsknił jak nieme zwierzę; ale jak sam mówił „Tam się przymiera z głodu!" Naturalnie, że on na to nie czekał. Miał swoje nadzieje. — Poczekajcie trochę — zwykł był mówić. — Przeszłego roku byłem w Brukseli. To żaden interes! Wkońcu zabrali mi wszystkie pieniądze na stowarzyszenie, a dali ten sklepik. Tu jest wcale nieźle, zarobiłem trochę pieniędzy w tym sezonie.

Miał dużo klijentek wśród kobiet lekkich obyczajów, którym się podobała jego piękna czupryna i które dobrze wiedziały, że w życiu nie zawsze stąpa się po różach, a istotnie było coś wzruszającego w wytrwałości Czuk-Czuka i w tem noszeniu starego ubrania, które wisiało na nim, jak worek; nie był też brzydki z temi wielkiemi, czarnemi oczami i drobnemi, brudnemi rękami.

Pewnego deszczowego dnia przyszedłem na tamę, gdzie prawie nie było żywej duszy. Czuk-Czuk nakrył swoją budę starem płótnem żaglowem. Palił długie cygaro.

— Aha! Czuk-Czuk—rzekłem—palisz?

— Ano tak — odpowiada — dobre!

— Dlaczego, sknero, nie palisz codzień? Toby cię podtrzymało, gdy jesteś głodny.

Potrząsnął przecząco głową. — Palenie kosztuje — powiedział. — A to mam za darmo. Jakieś indywiduum — czerwony na gębie Anglik — dał mi je; powiedział, że on go nie może palić. Nie zna się stary idjota — dobre jest,mówię ci!

Ale to właśnie Czuk - Czuk nie znał się na niczem — za długo był bez niezbędnych środków dla nabycia doświadczenia. Było ciekawe obserwować sposób, w jaki jadł, pił, wdychał i ssał to cygaro marnego gatunku — prawdziwe zmysłowe lubowanie się.

Nadszedł koniec sezonu i my wszyscy — ptaki żerujące na przy-

jezdnych — gotowaliśmy się do odlotu; lecz ja jeszcze pozostałem, bo lubiłem tę miejscowość — domy o wesołych barwach, zapach ryb w porcie, świeże powietrze, bezmierne, zielone morze i piaszczyste wzgórza na wybrzeżu; to wszystko weszło mi w krew i zawsze mi żal to opuszczać. Ale po skończonym sezonie — *nom d'un saint*, jakby powiedział Czuk-Czuk —przymiera się z głodu!

Pewnego wieczoru, pod sam koniec sezonu, kiedy pozostało zaledwie dwudziestu przyjezdnych, poszedłem jak zwykle do pewnej kawiarni, o dwóch osobnych pomieszczeniach, gdzie przychodzą ci wszyscy, których sposób życia jest wąpliwy — spekulanci, komedjanci, podstarzałe aktorki, kobiety lekkich obyczajów, „Turcy", „Włosi", „Grecy" — wszyscy ci faktycznie, którzy uprawiają niejasną grę — prawdziwa nora szwindlerów i rycerzy przemysłu — bardzo interesujący ludzie, z którymi znam się doskonale. Prawie wszyscy już odjechali, tak że tego wieczoru w restauracji było nas tylko niewielu, a w pokoju od tyłu zaledwie trzech Włochów. Wszedłem tam.

Wkrótce zjawił się Czuk-Czuk; pierwszy raz zobaczyłem go w miejscu, gdzie można wydać trochę pieniędzy. Jaki on był chudy z tym swoim małym korpusem i dużą głową! Możnaby powiedzieć, że nie jadł przynajmniej z tydzień. Tydzień? Rok! Usiadł i kazał sobie podać butelkę wina. Natychmiast stał się bardzo rozmownym i zaczął trzaskać w palce.

— No, no — rzekł jeden z Włochów — popatrzcie na Czuk-Czuka. Co za słowiczek się z niego nagle zrobił. No dalej, Czuk-Czuk — poczęstuj nas swojem winem, skoro ci się tak powiodło!

Czuk-Czuk zaczął nas częstować i zamówił drugą butelkę.

— Ho, ho — rzekł drugi z Włochów — ten towarzysz chyba pogrzebał kogoś z rodziny! — Piliśmy. Czuk-Czuk więcej niż inni. Czy znacie ten rodzaj pragnienia, kiedy się pije, żeby poczuć krew, płynącą w żyłach? W tym stanie większość ludzi nie potrafi przestać pić — upijają się na śmierć. Czuk-Czuk nie był takim. Był ostrożny jak zawsze, patrzący w przyszłość. Och! On trzymał serce w garści; ale w takich wypadkach nawet odrobina prowadzi na manowce. Opanowała go wesołość — niewiele potrzeba, aby rozweselić Włocha, który żył całe miesiące o wodzie i pół-racjach chleba lub makaronu. Było widoczne, że miał powody do wesołości. Śpiewał i śmiał się, a wszyscy Włosi śpiewali i śmieli się z nim razem. Jeden z nich rzekł: — Zdaje się, że nasz Czuk-Czuk zrobił dobry interes. No dalej, Czuk-Czuk, przyznaj się, ileś zarobił w tym sezonie!

Ale Czuk-Czuk potrząsnął tylko głową.

— Ech—ciągnął dalej Włoch— cóż za płochliwy ptaszek z ciebie. Musi to być niezła suma. Co się mnie tyczy, to mówię wam uczciwie, kamraci, pięćset franków to cały mój zarobek — ani centa więcej — a jeszcze połowa z tego należy się gospodarzowi.

I wszyscy zaczęli mówić o swoich zyskach, z wyjątkiem Czuk-Czuka, który szczerzył zęby w uśmiechu i milczał.

— No dalej! Czuk-Czuk — odezwał się jeden z Włochów — nie bądź bandytą; odrobinę szczerości!

— Nie pobije moich szesnastu setek! — rzekł inny.

— *Non d'un saint!* — rzekł nagle Czuk-Czuk — a cobyście powiedzieli na cztery tysiące?

Roześmieliśmy się wszyscy.

— Gadaj zdrów! — odezwał się jeden z nich — on sobie z nas kpi!

Czuk-Czuk rozpiął stary surdut.

— Patrzcie! — krzyknął i wyciągnął cztery banknoty, po tysiąc franków każdy. Zdumieliśmy się.

— Widzicie — rzekł — co to znaczy być przezornym. Ja na nic nie wydawałem, nie brak tu ani centa! Teraz wracam do domu, będę miał moją dziewczynę; życzcie mi szczęśliwej drogi! — I znowu zaczął trzaskać w palce.



Pozostaliśmy jeszcze czas jakiś i wypiliśmy jeszcze jedną butelkę, za którą Czuk-Czuk zapłacił. Kiedyśmy się rozstawali, nikt nie był bezradnym, tylko, jak powiedział, Czuk-Czuk, znajdował się na drodze do gwiazd, jak to bywa po sześciomiesięcznym poście.

Następnego ranka siedziałem nad kufelkiem w tej samej kawiarni, ponieważ nie było nic lepszego do roboty, gdy nagle kto wpada? Czuk-Czuk we własnej osobie! Ach! Ale nie był już na drodze do gwiazd. Rzucił się na stół z głową, ukrytą w rękach i łzy toczyły mu się po policzkach.

— Okradli mnie — krzyknął — okradli do ostatniego grosza; okradli mnie, gdy spałem! Tu je miałem, pod poduszką! Spałem na nich; poszło wszystko, do ostatniego grosza! — Uderzał się w piersi.

— Jakto Czuk-Czuk — odrzekłem — wyciągnęli ci z pod poduszki? To niemożliwe!

— Czy ja wem — jęknął — poszło, mówię ci, wszystkie moje pieniądze, wszystkie moje pieniądze! Miałem ciężką głowę od wina — nie mógł się zdobyć na nic innego, tylko powtarzał wkółko: Wszystkie moje pieniądze, cały mój majątek!

— Czy byłeś na policji?

Był na policji. Próbowałem go pocieszyć, ale, jak sobie możecie wyobrazić, bez wielkiego skutku. Chłopiec poprostu odchodził od zmysłów.

Policja nic nie zdziałała — pocóż miałaby się fatygować? Gdyby był Rotszyldem, to inna sprawa, ale widząc, że to tylko taki biedaczysko Włoch, który stracił wszystko...

Czuk-Czuk sprzedał dzień przedtem swój sklepik, swoje zapasy towaru, wszystko, co posiadał, tak że nie miał nawet na bilet do Brukseli. Był zmuszony iść piechotą. Wyruszył w drogę — i do dziś widzę go wciąż, idącego w małym meloniku na pięknych, czarnych włosach i z powiewającemi końcami krawata. Twarz jego była, jak oblicze szatana, wypędzonego z raju!

Nie umiem powiedzieć, co się z nim stało, ale nie mogę się dopatrzeć w tem wszystkiem owej sprawiedliwości, o której właśnie przed chwilą mówiliście.

I Ferrand zamilkł.



U SŁOWIAŃSKICH MAHOMETAN

Za założyciela Sarajewa uważany jest Ghazi Issabeg, syn wielkorządcy Skoplja. Stąd powstało powiedzenie, że Sarajewo zrodziło się ze Skoplje.

Miasta te liczą obecnie po 70 tysięcy ludności, zajmują równorzędne stanowisko w hierarchji administracyjnej, mają mniej więcej jednakowe znaczenie handlowe i obydwa posiadają wybitnie wschodni charakter. A jednak jakżeż wielka zachodzi między niemi różnica.

Sarajewo znacznie wyprzedziło rodzica: w kulturze, zamożności i zewnętrznym wyglądzie. Wyasfaltowane ulice jego odznaczają się elegancją; wszędzie jest czysto i porządnie. Chodniki, parki, wodociągi, kanalizacja, tramwaje, oświetlenie elektryczne i inne urządzenia nie gorsze, niż w każdem europejskiem mieście. I wszystko to w połączeniu z obyczajami i rodzajowemi obrazkami Wschodu: dziesiątki dominujących nad miastem minaretów, ospałe postacie mężczyzn w fezach i przybrane w swoiste stroje zakwefione kobiety; małe osiołki, objuczone sianem lub chróstem i woły ciągnące ciężary; publiczne studnie, ujęte w kamień, kawiarnia w każdym domu, na każdej ulicy meczet, a wszystkie wolne od zabudowań i jezdni skrawki ziemi, wszystkie narożniki i placyki, na których w Europie urządzonoby skwery, pokryte niesymetrycznie rozrzuconemi nagrobkami muzułmańskiemi.

— Usunięcie z centrum miasta cmentarzyków mahometańskich — to dla nas jedno z najtrudniejszych zagadnień urbanistycznych — mówi p. Kosta Mandić, sympatyczny szef miejskiego wydziału statystycznego. — Poruszenie szczątków zmarłych uważają mahometanie za świętokradztwo i zniewagę wyrządzoną całemu rodowi. Niech pan spojrzy na ten cmentarzyk — pokazuje ręką trzy — cztery groby, otoczone murkiem. — O przeniesienie tych paru kamieni z XVII wieku, przeszkadzających regulacji ulicy, walczy magistrat od 25 lat. I nic nie pomaga, bo dalecy potomkowie pochowanych założyli protest...

Na szczęście, już od wielu lat grzebie się zmarłych poza miastem, na zboczach gór, które usiane są wprost pomnikami mahometańskiemi. Można poznać z formy, czyje kryją one zwłoki. Ścięty ukośnie słup — oznacza grób kobiety; ukoronowany kamiennym turbanem — pątnika do Mekki; ile w postumencie wyciosano turbanów — tyle podróży odbył nieboszczyk do grobu Mahometa; wyższym duchownym przysługuje mauzoleum w kształcie baldachimu z kamienia. Cmentarze zamiejskie nie są ogrodzone; pasą się po nich stada baranów i owiec. Ale „wierny" nie powinien na nich przebywać.

Natomiast miejsca wiecznego spoczynku wewnątrz miasta są tak wciśnięte w osiedla ludzkie, że kontakt jest nieustanny. Ma się groby tuż pod oknem, wchodzi się obok nich do ruchliwego sklepu, bierze się czasem przewrócony na dziedzińcu nagrobek za ławkę i gwarzy na nim wesoło.

Zresztą wygodniej przejść do tuż położonej kawiarenki. Kilkanaście stolików na ulicy, zadymiona mała izba, nie odznaczająca się czystością, — oto „kafana" turecka. Nie znajdziesz tam luksusu paryskich „cafés - concerts", ani wygody wiedeńskich „Kaffe-haus", ani zaciszności naszych warszawskich cukierenek. Tu wszystko odkryte, prymitywne, ordynarne. Tylko jedna rzecz lepsza, niż w Paryżu. Warszawie i Wiedniu—rzecz w kawiarni dość ważna: sama kawa, „turska kava".

— Cóż dziwnego, że pijemy dobrą kawę — powiada p. Jovan Palavestra, referent prasowy Banowiny — przecież według prof. Wladimira Skaric'a, kustosza muzeum



Widok ogólny Sarajewa.



Dziewczyny mahometańskie w przyjaźni z chrześcijankami

sarajewskiego, pierwsza kawiarnia powstała tu w XI wieku.

— Jakto! przecież Sarajewo założono dopiero w połowie XV-go!

— Tak, ale bezwątpienia były tu już dawniej osiedla Illyrów, Dezydjatów, Rzymian, Awarów, Słowian, szukające opieki u podnóża odwiecznej twierdzy, zwanej Vrhbosna. Znacznie rozszerzona i wzmocniona przez Turków w XVIII w., panuje ona dotychczas nad miastem i służy armji jugosłowiańskiej za magazyny, składy i koszary.

Ku tej cytadeli pnie się stara dzielnica mahometańska o wązkich, krętych i spadzistych uliczkach, zabudowanych małemi domkami i ślepemi murami. Ileż tam romantycznych zakątków, ile pięknych fragmentów architektonicznych! Ile tematów dla malarzy i poetów!

Ale prawdziwy egzotyzm roztacza się dopiero na dole—w dzielnicy handlowej, zwanej Czarszja. Setki sklepów i kramów szeroko otwierają wnętrza oczom przechodniów. Można w nich dostać wszystkiego — od pysznych owoców południowych do puszystych kołder, od pantofli do biżuterji, od zwykłych statków kuchennych do wspaniałych kobierców. W sieci poplątanych uliczek i zaułków nie trudno się zorjentować, gdyż każdy fach ma wyznaczone sobie miejsce. Tu ciągną się szeregi straganów owocowych i warzywnych, tam nieprzerwany sznur szewców, szmuklerzy, tkaczy ręcznych, czapników, garncarzy; dalej widać artystyczne wyroby ze skóry i z metali, pięknie haftowane materje, inkrustacje w drzewie; z boku dochodzą przeraźliwe dźwięki warsztatów kotlarskich, skądinąd rozlega się głuchy stuk młotków i zgrzyt pilników; zewsząd słychać nawoływania, zachęcające do kupna.

Obok bazarów mieszczą się pracownie, gdyż towary na miejscu wyrabia się i sprzedaje.

Ten rodzaj handlu i rzemiosła ma zupełnie inne, niż u nas własności. Jest bliższy klijenteli; wszystkie fazy produkcji odbywają się na jej oczach, jak u nas na pokazach i wystawach. Nawiązuje się też serdeczniejszy kontakt między sprzedającym a kupującym. Ten ani się spostrzeże, jak częstują go „srpską" kawą lub tureckiemi słodyczami. To doświadczony kupiec dał tajemny znak właścicielowi po-



Scenka rodzajowa z Czarszij

blizkiej kawiarni, który w okamgnieniu przysłał na tacy dwie filigranowe filiżanki. Gościnność obowiązuje: — to też tranzakcja dochodzi do skutku.

O zachodzie słońca Czarszija pustoszeje. Kramy i warsztaty zasłania się zbitemi deskami i zamyka na kołek, jak przed wiekami. Nikt tu nie zna kłódek, kluczy, ani sztab żelaznych. Publiczności już dawno niema; kupcy i subjekci opuszczają dzielnicę handlową i zwolna idą pod górę do domów. Cała Czarszija jakby wymarła, gdyż nikt tu nie mieszka i nikt nie pilnuje miljonowego mienia. Tylko zrzadka rozlegną się w ciszy kroki ciekawego cudzoziemca, który z podziwu nie może wyjść, że w tym zakątku obcym kulturze europejskiej wszystko przez noc stoi otworem i nigdy nie zdarzają się kradzieże.

Tymczasem życie miasta przeniosło się opodal — na wybrzeże płytkiej rzeki Milaczki o jasno seledynowej barwie. Tu i na sąsiednich paru ulicach odbywa się od 6 do 8 wieczór, a w zimie nieco wcześniej, „corso". Po trotuarach i środkiem jezdni spacerują setki osób, prezentując swe stroje, dzieląc się najnowszemi plotkami, czy tylko zażywając świeżego powietrza po skwarnym i pracowitym dniu. Ruch kołowy o tej porze zupełnie zamiera. Zapóźniony samochód ledwie przecisnąć się może wśród niefrasobliwego tłumu.

Główne „corso" odbywa się na bulwarze nadrzecznym między wspaniałym, choć nowym gmachem Ratusza w stylu maurytańskim a mostem Principa, gdzie zginął arcyksiążę Franciszek Ferdynand. O fakcie tym dyskretnie przypomina wmurowana w narożnym domu tablica, głosząca, że w tem miejscu dnia 28 czerwca 1914 r. Gawriło Princip „zwiastował wolność". Istotnie zamach ten wywołał wojnę wszechświatową, która przyniosła



Uliczka w dzielnicy mahometańskiej

niepodległość i zjednoczenie szczepom jugosłowiańskim, a także Polsce. Ale wszystkie narody okryła żałobą, pochłaniając miljony ofiar w ludziach i nieprzeliczone powodując straty materjalne. Dlatego też, wchodząc w uczucia całej ludzkości, boleśnie doświadczonej wojną, Sarajewo tak skromnie uczciło pamięć swego młodego bohatera.

Obcego przybysza uderza wśród spacerowiczów wielka ilość „turczynek". Chodzą one po dwie — trzy pod rękę, rzadko w towarzystwie młodzieńca, częściej w najlepszej komitywie z dziewczętami chrześcijańskiemi o odsłoniętych twarzach. Co jednak ciekawsze, z pod „jaszmaku", zazdrośnie kryjącego oblicza, dochodzą czysto słowiańskie dźwięki.

Mahometanie bowiem, zamieszkujący w większości Bośnię i Hercegowinę, a stanowiący niemal połowę ludności Sarajewa, używają wyłącznie języka serbsko - chorwackiego i są pochodzenia słowiańskiego. Przed wiekami, gdy chrystjanizm nie zakorzenił się jeszcze w tych górskich plemionach, przyjęli oni islam, jego pojęcia moralne i obyczaje, ale zachowali poczucie odrębności narodowej i czystość mowy ojczystej; powstawali też niejednokrotnie przeciwko władztwu tureckiemu, co wreszcie skłoniło mocarstwa do oddania na Kongresie Berlińskim 1878 roku Bośni i Hercegowiny pod okupację Austro - Węgier. Ale nowe rządy, więcej dbałe o materjalną pomyślność poddanych, nie zaspokoiły ich aspiracyj duchowych, które znalazły ujście dopiero w wolnej i zjednoczonej Jugosławji.

Ta zagwarantowała muzułmanom całkowite równouprawnienie i swobodę wyznania. Najwyższe dostojeństwa państwowe w służbie cywilnej i w wojsku są dla nich dostępne; kilku było już ministrami. Obecny podban w Sarajewie dr. Ibrahim Hadzio - Merowić jest mahometaninem i nie pokazuje się publicznie bez fezu. Przeszło osiemdziesiąt meczetów zdobi to miasto o 25 tys. wyznawców Ałłaha, gdy kilkanaście tysięcy prawosławnych ma zaledwie kilka cerkwi, a tyluż katolików — jedną katedrę i stary kościołek Franciszkanów.

Muzułmanie stanowią też najzamożniejszą warstwę ludności, dzierżąc w swych rękach cały handel wespół z nielicznymi żydami, rozpadającymi się na dwie gminy: sefardystów i askenazystów.

Tworząc przez wiele wieków sferę panującą, muzułmanie oddziałali decydująco na pojęcia i zwyczaje współziomków chrześcijańskich. Pogląd zwłaszcza na kobietę u Serbów urobił się wyraźnie pod wpływem nauk mahometańskich. Nieprzyjęte jest nprz. pytać męża o zdrowie żony. A już zupełnym nietaktem byłoby zasyłanie jej ukłonów lub ucałowania rączek. Uważa się ją bowiem za coś bardzo intymnego, czem obcy nie powinien się interesować.

Te bufiaste płaszcze, ściągnięte w pasie i otulające mahometanki od głów do stóp, czyniące z nich bezkształtne postacie, doskonale odpowiadają stosunkowi islamu do kobiety: ukrywają ją przed wzrokiem spotkanego mężczyzny i nie pozwalają mu nawet odróżnić starej od młodej, znajomej od nieznajomej, siostry od obcej. — Tak przynajmniej jest w Starej Serbji.

W Bośni, a zwłaszcza w Sarajewie — pod wpływem europeizacji ogólnej — coś się w tej dziedzinie już zmienia. Znikły czarne płaszcze, zastąpiono je pasiastemi, różnokolorowemi, często nawet ubiorem europejskim. Tylko zasłona twarzy trwa niewzruszenie, chociaż staje się jakby lżejsza i coraz bardziej przezroczysta. Widuje się zakwefione kobiety po kawiarniach, rażą nadmierną ilością na „corso", a nawet można spotkać je w nocy na dancingu. I wtedy jednak twarz jest szczelnie zasłonięta, chociaż nóżka—w pięknej pończoszce jedwabnej ze strzałkami — odkryta po kolano.

W. Giełżyński

TADEUSZ KOŃCZYC

Usta nigdy niecałowane

Usta nigdy niecałowane,
Jakże wam musi być źle!
Przechodzą noce i świty — na zmianę —
Przechodzą w słońcu i w mgle,
Rozkwita miłość dokoła,
Wiosna się budzi i woła,
A wy biedne, biedne
Niecałowane usta
Nie odczuwacie czaru pieszczoty — wy jedne!
I waszych wspomnień skarbnica jest pusta...
W jej najtajniejszym zakątku,
Gdzie dusza chowa
Przeżyte upojenia, pocałunki, słowa
Zaklęte w marzeń szczątku,
Nie przetrwa ta nić jedyna,
Co sercu i ustom przypomina
Prześniony miłości sen...

Usta nigdy niecałowane
Za co was krzywdzi los?
Czyście były nieczułe na pragnienia głos,
Czy ktoś waszemu sercu zadał ranę?
Czy może poprostu brzydkie-ście były
Brzydkie, popękane,
Niemiłe, nieponętne —
Może nawet wstrętne?
Usta nigdy niecałowane...
A może chciałyście oddać swój pąk
Jedynej w życiu pieszczocie
Ukochanych ust
I rąk,
A pusto
Było wkrąg...
Nie przyszedł ten, kto waszej jawił
[się tęsknocie,
Jak cudny sen...
Nie przyszedł — i powiędły ciche, zadumane
O szczęściu, co się nie ziści,
Powiędły nakształt schnących w jesień liści
Usta nigdy niecałowane...

Wodzowie aktorów na mieliźnie kryzysu teatralnego

Zanosi się na to, że Związek artystów scen polskich (ZASP) sam będzie od jesieni prowadził teatry w całej Polsce, miejskie, subwencjonowane i prywatne, bo zrzeszeni i solidarni dyrektorowie teatrów postanowili radykalnie zmienić brzmienie dotychczasowej konwencji z Zaspem, ten zaś postulaty dyrektorskie stanowczo odrzucił i zabronił swoim członkom zawierania umów z dyrektorami wspomnianego bloku.

Szykuje się tedy przedsiębiorstwo teatralne na niewidzianą jeszcze skalę. Tak przynajmniej wolno sądzić na podstawie wyjaśnień, udzielonych przedstawicielom prasy w lokalu Zaspu przez p. sekretarza Bojanowskiego i p. prezesa Dygasa. Jak w Wilnie i jak w Łodzi, Zasp we wszystkich miastach będzie prowadził zrzeszenia, z tą tylko różnicą, że nie będzie w stanie członkom zrzeszeń (artystom, nie urzędnikom) gwarantować 75% wyznaczonej gaży, co miało zastosowanie w Wilnie.

Jest to zupełnie zrozumiałe. Ilu miljonów zakładowego kapitału wymagałoby w wypadku gwarantowania gaż tak kolosalne przedsiębiorstwo, złożone z tylu, tylu scen, nawet gdyby gaże artystów były śmiesznie małe na wzór zrzeszenia wileńskiego! I, zresztą, skądby na to miał brać pieniądze główny zarząd związku? Dzisiejsze, bardzo wysokie, składki członkowskie w Zaspie nie złożyłyby się na taki zakładowy kapitał, choćby je podwojono.

Tedy Zasp będzie prowadził zrzeszenia teatralne bez żadnych gwarancji finansowych.

Jeżeli na tem ma polegać sprawowanie obrony interesów aktorskich przez Zasp, to jest to obrona dość szczególna, bo nawet dotychczasowe, zastrzeżone przez konwencję Zaspu z dyrektorami, minimum gaży, wobec uzależnienia wypłat poborów aktorskich wyłącznie od frekwencji publiczności, przestaje istnieć. W koncepcji zrzeszeń zaspowych niema minimum gaży. To minimum kasuje Zasp osobiście, ponieważ obejmuje przedsiębiorstwa teatralne *bez gwarancji*. Ale przez dwanaście miesięcy, nie przez dziesięć, czy osiem, jak to proponuje związek dyrektorów i poniekąd magistraty, prowadzące, lub subwencjonujące teatry (ex. magistrat warszawski i poznański).

Ofiarowując swoim członkom tak wiele, zabrania im się angażować na gorszych warunkach(?) do teatrów poszczególnych dyrektorów w całej Polsce. A przez ten zakaz staje się Zasp jedynym, bezkonkurencyjnym, przedsiębiorcą teatralnym w Rzeczypospolitej.

Zasp zapewne nie zdaje sobie sprawy z paradoksalności sytuacji, którą wytwarza. Bo, oto, ni mniej, ni więcej, tylko mocą rygorów związkowych ustanawia w Polsce monopol na prowadzenie teatrów i sam ten monopol obejmuje. Aktorom, pracującym w tym monopolu, nie daje żadnej gwarancji wypłacalności. A gdyby który aktor w jakimś konflikcie z monopolem udał się z zażaleniem na ten monopol do swojego związku zawodowego, przekona się, że monopol i zawodowy związek obrony interesów aktorskich — to jedno.

Tego jeszcze nie było!

. . . .

Nie powiadam, że wszystkie dobre racje są po stronie związku dyrektorów i magistratów. Wyraźnie przeciw takiemu komentowaniu moich wywodów zgóry się zastrzegam. Pragnę jedynie wszystkim zainteresowanym unaocznić możliwie najjaśniej prawdziwie dziwną postawę Zaspu w arcypoważnym splocie obecnych zagadnień teatralnych. Stawać się przedsiębiorcą teatralnym — to nie rola Zaspu. Związki zawodowe nie poto powstają, żeby ich zarządy przy nadarzonej sposobności mogły się przeistaczać w zarządy zarobkujących przedsiębiorstw, nie przestając być w dalszym ciągu czystej krwi zarządami związków zawodowych. Jest to absurd, bijący w oczy.

Obecny zarząd główny Zaspu zajmuje się losem swoich licznych członków w sposób zarówno fantastyczny, jak bezprzedmiotowy, bo przecież prowadzenie zrzeszeń teatralnych przez Zasp bez finansowej gwarancji nie może być uważane za akt skutecznej obrony interesów aktorskich. Na takich warunkach kontraktowych każdy dyrektor teatralny zgodzi się angażować artystów nie na dziesięć, nie na dwanaście, ale nawet na dwadzieścia cztery miesiące w roku i dożywotnio.

W czasie konferencji z przedstawicielami prasy reprezentanci Zaspu oświadczyli, że gotowi są poświęcić nawet węgielny postulat związku, postulat ustanowionej oddawna aktorskiej gaży minimalnej, byle dyrektorowie przyjęli wzamian postulat dwunastomiesięcznych kontraktów aktorskich i dziesięciogroszowej kwesty na Dom Aktora (znane nalepki przy sprzedawaniu biletów teatralnych).

Wątpliwe, czy odstąpienie od zasady minimum poborów aktorskich przypadnie do smaku najbiedniejszym zaspowym członkom, którym się chyba, jako najsłabszym, najpieczołowitsza należy opieka związku?

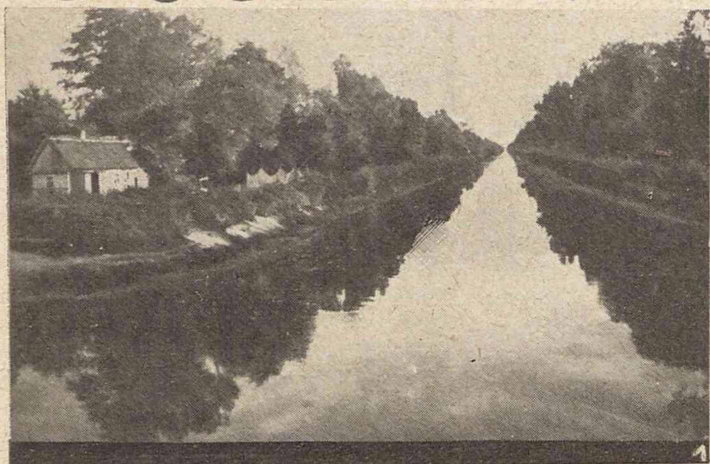
W. Gr.

Mistrzostwo świata w boksie



W CLEVELAND (OHIO) ROZEGRANO MECZ O MISTRZOSTWO ŚWIATA W BOKSIE. ZWYCIĘŻYŁ NIEMIEC MAKS SCHMELING. PARTNEREM JEGO BYŁ AMERYKANIN YOUNG STRIBLING Fot. New York Times

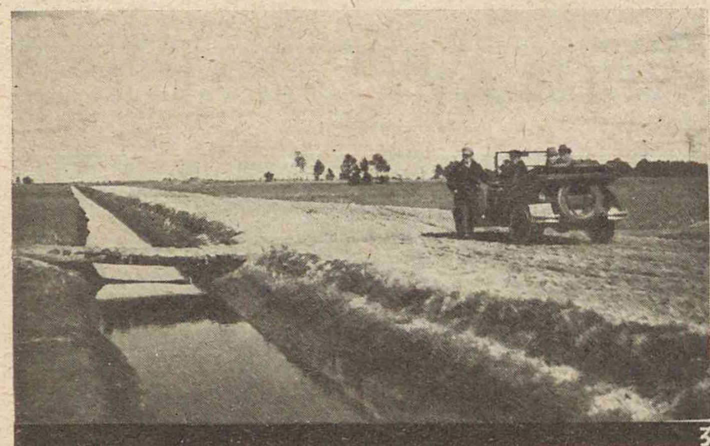
OSUSZANIE POLESIA



1.KANAŁ KRÓLEWSKI. 2. NOWY MOST DREWNIANY NA KANALE KRÓL.



3. NOWE DROGI NA MIEJSCACH, GDZIE DO NIEDAWNA BYŁY NIEPRZEBYTE MOCZARY.



4. PRACE NAD OSUSZANIEM. 5. TABUN KONI NA ŁĄCE.





F. LILPOPÓWNA.

Z galerji głośnych morderczyń







Poprzez wszystkie stulecia kronika kryminalna wspomina o udziale kobiet w morderstwach. W niezliczonych wypadkach jest ona inspiratorką, możnaby rzec, suflerem wielu tragedji, które się rozegrały na wielkiej scenie życia. Znacznie rzadziej wykonywa sama zamierzony plan. Motywami, jakiemi się kieruje, są niezawsze wielkie namiętności—jak się to pisze w romansach kryminalnych — ale, przeważnie rozstrój umysłowy. Wystarczy spojrzeć na kilka odbitek słynnych morderczyń, na ich niesamowity wyraz twarzy, by przekonać się o prawdzie tych słów.

(1) Wielką sensację w świecie wywołało skazanie na śmierć ładnej Edith Thompson, która zamordowała swojego męża przy współudziale Fryderyka Bywatersa. Edith Thompson była kochanką Bywatersa. Początkowo zamierzali otruć Thompsona, następnie zmienili plany i wciągnęli w zasadzkę na peryferjach Londynu. Edith Thompson zastrzeliła męża. Działo się to w roku 1922-im.

(2) Mademoiselle Marguerite Bertrand — Pantera Montmartre'u — stała na czele bandy morderców, której okropne przestępstwa budziły grozę w całym Paryżu.

(3) Belle Gunnes, kobiecy Sinobrody, jest jedną z wyrafinowańszych morderczyń w dziejach kryminalistyki. Znaleziono osiem trupów w jej farmie La Porte. Posądzono ją o sto morderstw. Swoją karjerę przestępczą rozpoczęła w Chicago, gdzie podpalała domy i kazała wypłacać sobie sumy ubezpieczeniowe. Z tych pieniędzy kupiła sobie wspaniałą farmę. Ofiarami jej byli przeważnie mężczyźni, którym przyrzekała małżeństwo, a następnie ograbiała i mordowała.

(4) Madame Marie Louise Bessarabo została w roku 1922-im skazana na śmierć za zabicie męża. Literatka i powieściopisarka, zastrzeliła go w własnym domu. Trupa schowała do kufra. Po kilku dniach bagażowy, który miał wysłać kufer, otworzył go i odkrył straszne morderstwo.

(5) Vavrilla Duc, urocza rumuńska tancerka, bożyszcze Paryża, zastrzeliła w r. 1928-ym Rajmunda Borssier, syna znanego paryskiego bankiera. Miało to miejsce w Genewie, na wielkiem przyjęciu. Borssier i tancerka mieli wkrótce wstąpić w związki małżeńskie.

(6) Jane Toppan, pielęgniarka, otruła arszenikiem dwudziestu chorych. Podczas śledztwa przyznała się, że bóle konających były źródłem jej największej rozkoszy.

(7) Ruth Snyder, osoba z najlepszych sfer towarzyskich New Jorku, zamordowała razem z swym kochankiem męża, wydawcę jednego z artystycznych pism amerykańskich.

(8) Kate Bender o szlachetnych rysach twarzy — popełniła w rodzinnym domu szereg morderstw, poczem zniknęła.



1.



2.



3.



4.

ZE SPORTU

1. Mecz pływacki Śląsk - Warszawa: Jarkuliszówna (Śląsk) wygrywa 400 m. w czasie 7 m. 31,2 sek.

2. Uczestnicy francuskiego lotu dookoła Europy w Warszawie: gen. de Goys, kapt. Costes, mjr. Girier, mjr. Pelletier d'Oisy, mjr. Rignot, kapt. Delaitre, kapt. Arrachart, kapt. Challe.

3. Bocheński, zdobył mistrzostwo Polski w pływaniu.

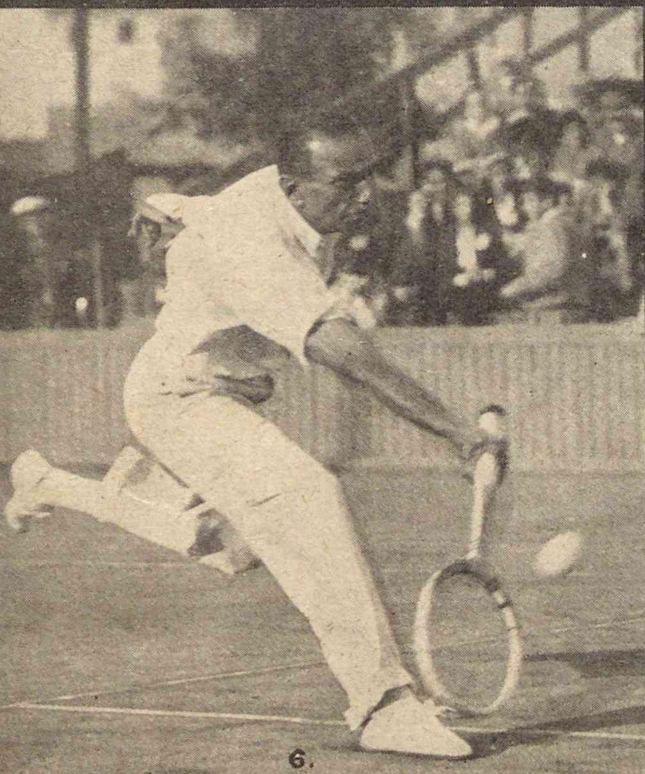
4. Mistrzyni Polski z łuku na rok 1931 — Marja Królówna (Sokół)

5. 15-letnia Helena Maciejewiczówna (O. P. K. D. O. K. — Grodno) otrzymała tytuł najlepszej łuczniczki Polski w klasie juniorów.

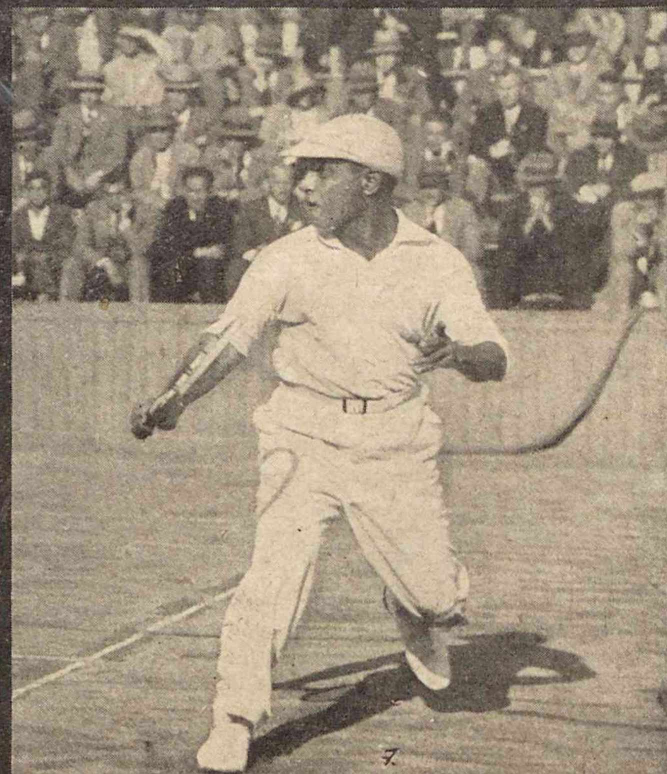
6 i 7. Mecz tennisowy „Indje-Legja": Hadi — (Indje), Fyzee — (Indje).



5.

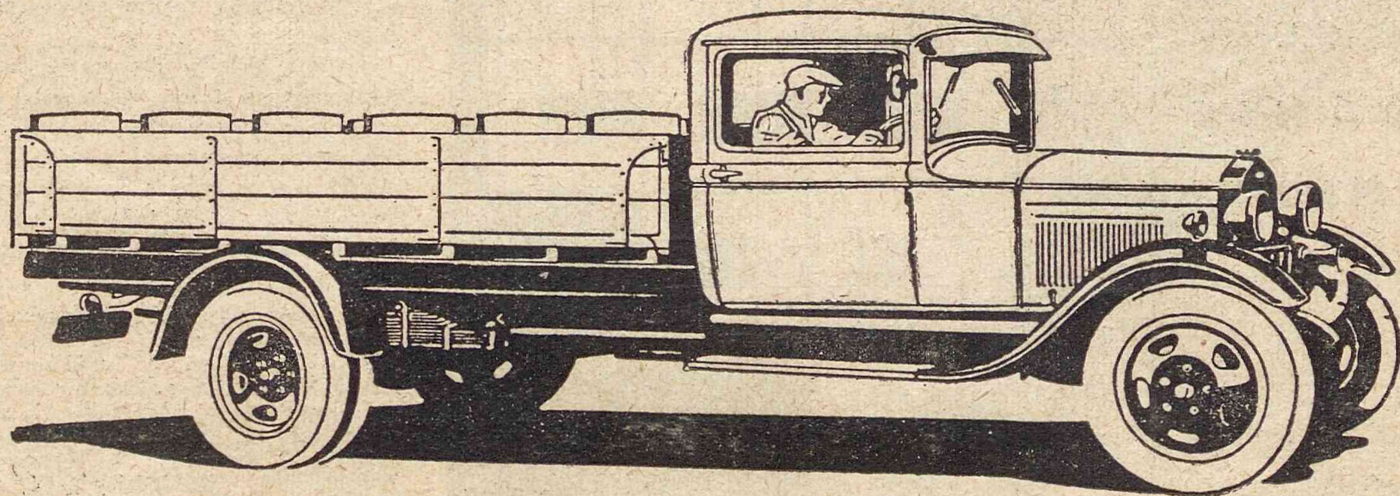


6.



7.

SAMOCHODY FORD
I CIĘŻARÓWKI Z ROKU 1931



dają za swą cenę więcej niż kiedykolwiek. Są one przyjemne do kierowania, dobrze się prezentują, w stosunku do wielkiej wydajności, są bardzo tanie w użyciu, a przytem żaden inny pojazd mechaniczny nie opiera się o tak wydatną i szeroko rozgałęzioną organizację obsługi, jak samochody F O R D. Wreszcie, jakiż samochód wygląda lepiej, mknie równiej, niż samochód osobowy lub ciężarówka F O R D? Miejscowy odsprzedawca F O R D A jest tym człowiekiem, którego należy się poradzić. Musiał on być fachowcem pierwszej klasy, aby móc zostać upoważnionym odsprzedawcą F O R D A. Takim pozostał i teraz, aby nadal być odsprzedawcą F O R D A!

LINCOLN



FORDSON

SAMOLOTY

F O R D M O T O R C O M P A N Y

ROZRYWKI UMYSŁOWE

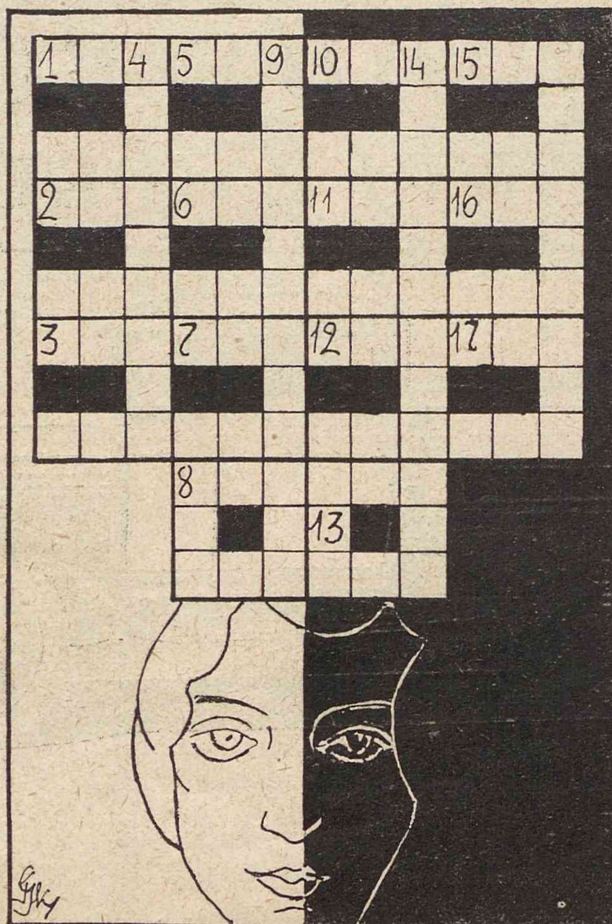


№ 62.

ZADANIE PREMJOWE

(Za rozwiązanie 3 punkty)





Poniższe zadanie — zupełnie nowego typu, jakich zresztą daliśmy dotychczas już sporo — nazwaliśmy premjowem, ponieważ pragniemy, aby właściwą dla niego nazwę wynaleźli Czytelnicy. Za najbardziej pomysłową nazwę przyznana zostanie nagroda w postaci wartościowej książki, niezależnie od nagrody, która rozlosowana zostanie między Czytelnikami, którzy nadeślą trafne rozwiązanie zadania.

Figura składa się z 14 kwadratów, mieszczących tyleż wyrazów, czytanych od pola numerowanego w kierunku biegu wskazówki zegarowej. Nadto litery, umieszczone w polach prawobocznych każdego kwadratu, czytane pionowo poprzez 3 wzgl. 4 kwadraty, dadzą dodatkowo 4 wyrazy.

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej: stanowi niebezpieczeństwo, 2. Działko, 3. Prowokująca złośliwość, 4. Część nauki o języku, 5. Żołnierze oddziałów pionierskich, 6. Despotyczny urzędnik, 7. Narzędzie miernicze, 8. Farma południowo-amerykańska, 9. Narady, 10. Wymuszenie, 11. Współczesny powieściopisarz niemiecki, 12. Charakterystyczne dla dworków polskich, dziś zanikające, urządzenie, 13. Wyrób menniczy, 14 Ruch, przeciwstawiający się emancypacji kobiet, 15 Pokaz publiczny, 16. Inicjator ruchów hajdamackich, t. zw. „kolijewszczyzny", 17. Miejscowość, sławna bitwą Władysława Łokietka, 18, Imię męskie.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ z № 27.

№ 54. POCZET MIAST POLSKICH: Augustów, Włocławek, Krosno, Opoczno, Oświęcim, Mielec, Chełm, Międzychód, Dobromil, Luboml, Lubliniec, Chodzież, Żywiec, Chełmno, Olkusz, Zdołbunów, Wilno, Opatów, Wejherowo, Ostrów, Wołkowysk, Kolno, Obornik, Krzemieniec, Czortków, Wyrzysk, Kościan, Nowy Sącz, Zaleszczyki, Inowrocław, Wolsztyn, Nisko, Odolanów, Wągrowiec, Ciechanów, Wąbrzeźno, Ostrzeszów, Węgrów, Włodawa, Aleksandrów, Włodzimierz, Zbaraż, Żnin, Nowy Targ, Grudziądz, Zborów, Wołożyn, Nowy Tomyśl, Lipno, Oszmiana.

№ 55. REBUS: Na czele kultury i obrony polskości w Gdańsku powinny płynąć pieniądze z całego państwa.

№ 56. ZADANIE LICZBOWE: W zadaniu wkradł się błąd, uniemożliwiający właściwe rozwiązanie. Unieważniamy je wobec tego, sprostowania zaś nie podaliśmy w następnym numerze, ponieważ, powodowałoby to przedłużenie terminu nadsyłania rozwiązań, a tem samem opóźniłoby rozstrzygnięcie konkursu kwartalnego o dwa tygodnie.

TRAFNE ROZWIĄZANIA zadań nadesłali: pp. Bojarski Tadeusz (8), Boguszewska Irena (4), Czerwińska Jadwiga (8), Kociatkiewiczówna Zofja (8), Pleyznerowska Helena (8), Prawdzic Michał (4), Roykiewicz Wacław (8), Sułkowska Leontyna (8), Tietz Zygmunt (8), Wiśniewska Teofila (8), Zborowska Teresa (8), Żukowska Irena (8) — *z Warszawy* oraz

pp. Bugajska Marja (8) — z Kłobucka, Czapułowiczowa Marja (8) — z Zawiercia, Denasiewicz Kazimierz (8) — z Drohobycza, Iwańczykowa Marja (8) — z Siernicz, Jasiński Wacław (4) — z Horochowa, Jurkiewicz Eugenjusz (4) — z Wilna, Kleczkowski M M. (8) — z Sulejówka, Krauze Józef (8) — z Żyrardowa, Ludwicki Henryk (8) — z Zagożdżonu, Łukasiewicz Michał (4)—z Białegostoku, Maliszewski Kazimierz (8) — ze Strzemieszyc, inż. Modrzejewski Józef (8) — z Lublina, Mokrzycka Helena (8) — z Drohobycza, Moszczyński Edward (8) — z Rembertowa, „Marek" (8) — z Łowicza, Piecha Franciszek (8) — z Mikołowa, Petrych Jan (8) — z Wronek, Ruszkowski Henryk (8) — z Krasnegostawu, Rutkowski Witold (8)— z Augustowa, Sułocka Janina (8) — ze Zgierza, Tyblewski Wacław (8) — z Poznania, Węgierski Tadeusz (8) — z Miłosnej, Zakrzewski Leon (4) — z Radomia, Zaleski Czesław (8) — z Kalisza, Zawadzka Anna (8) — z Ciechanowa, Życzyński Bohdan (8) — z Nowogródka.

NAGRODY — za trafne rozwiązanie zadań — wylosowano dla:

p. *Henryka Ludwickiego* z Zagożdżonu — Adama Mickiewicza „Pisma",

p. *Bohdana Życzyńskiego* z Nowogródka — Jana Lorentowicza: Antologja „Polska pieśń miłosna".

Rozstrzygnięcie II-go konkursu kwartalnego

z braku miejsca, podane zostanie w numerze następnym.

KONKURS NASZ

dostępny dla wszystkich Czytelników, ma podwójny charakter: 1) współzawodnictwa przy rozwiązywaniu poszczególnych zadań, i 2) turnieju wytrwałości. Za trafne rozwiązanie każdego zadania zalicza się odpowiednią ilość punktów i rozlosowuje jedną nagrodę. Zdobywcy największej liczby punktów w ciągu całego kwartału otrzymują szereg wartościowych nagród.

MAGJA KLEJNOTÓW

Jeśli kto lubi połyskliwość i gry kolorów drogich kamieni, powinien koniecznie będąc w Paryżu odwiedzić rue de la Paix, siedlisko bogini Mody i wszelkich elegancyj, wysławiane w powieściach i romansach. Prawie każde okno to wystawa jubilerska, jaśniejąca tysiącami barw zmiennych, drgających w świetle elektrycznem, jak żywe, mieniących się wszystkiemi odcieniami tęczy. Piękno zimne kamieni podnosi umiejętne obrobienie i oszlifowanie, dzięki nim kamienie nabierają życia i specjalnego, że tak powiem, indywidualnego charakteru. Dwa brylanty, każdy inaczej oszlifowany, rzucają oba oślepiające ognie, ale każdy zupełnie inne. Jak zawsze i we wszystkiem, czego dotknie ręka ludzka, człowiek daje coś z własnej indywidualności dziełu tej ręki.

Tego roku widzi się na wystawach wiele szafirów. Wprawdzie nie każdy urodził się w kwietniu, a zatem nie każdemu ten piękny kamień przynosi szczęście, według starego przesądu, nie każdy również odznacza się stałością w uczuciu, której szafir jest pono emblematem, ale mimo to, skoro jest modny, znajdzie dużo amatorów lub raczej amatorek. Na rue de la Paix widzimy tysiączne odmiany szafirów. Są blado-niebieskie, są inne z nieco-liliowym odcieniem, są czysto-niebieskie, różowawo-niebieskie, biało-niebieskie, nawet prawie białe, są ciemno - granatowe i prawie czarne.

Ale amatorki tego pięknego kamienia mogą również, naturalnie o ile im nie chodzi o magiczne własności szafirów, nabyć za bardzo skromną cenę doskonałą imitację. Pod względem imitacji sztuka jubilerska francuska doszła do takiej doskonałości, że tylko expert lub znawca rozpoznać nieraz może prawdziwe klejnoty od sztucznych. Zresztą jest rzeczą ogólnie wiadomą, że miljonerki, posiadające bajeczne klejnoty, noszą prawie zwykle doskonałe ich imitacje, a prawdziwe klejnoty leżą w bezpiecznem przechowaniu. Tylko chciwe reklamy i sensacji damy ze świata finansowego, lub artystycznego, gubią klejnoty; przez jakiś czas gubiły tak obowiązkowo perły. Obecnie moda ta ustała trochę, prasa paryska zaczęła ją słusznie ośmieszać, a że w Paryżu ludzie boją się, jak ognia, ba, nawet gorzej niż ognia, śmieszności i prasy, więc damy przestały chwilowo gubić klejnoty, a zwłaszcza perły, mniej obecnie modne.

Imitacyj pereł od najwulgarniejszych do prawdziwie artystycznych niepodobna zliczyć. Może to jest właśnie powodem nielaski, w jaką popadły od pewnego czasu u bogini Mody, lubiącej tylko rzeczy rzadkie i drogie. W takich razach ludzie zaczynają sobie również przypominać, że perły przynoszą nieszczęście, zarówno jak opale. Jeżeli jednak zajrzymy do starych „czarodziejskich" ksiąg, znajdziemy tam, że opal wprawdzie nie przynosi szczęścia wszystkim, ale przynosi je tym, którzy urodzili się w sierpniu, a perły znowu pono są kamieniem marcowym, wcale zresztą stosownym ze względu na pogodę marcową i ilość śnieżnych pereł spadających w tym miesiącu.

Nieco surowy, kościelny ametyst, jest kamieniem myśli i rozwagi, hamuje niepotrzebne namiętności i daje silną wolę, ale znowu tylko tym, którzy urodzili się w lutym. Grudzień ma brylanty, bardzo stosowne do śniegu i mrozu, zapewniające urodzonym w grudniu powodzenie, czysty i silny charakter; październik ma blade turkusy, podobne do nieba jesiennego, dające dobroć i spokojny, marzycielski charakter; listopad posiada całą gamę topazów, kamienie kapryśne, uosabiające dumę, fantazję, czary. Co do czarów za najfatalniejszy kamień uważano w Średniowieczu bursztyn, a przez pewien czas noszenie bursztynu, jako kamienia używanego do celów czarnej magji, było zabronione przez władze kościelne i świeckie we Francji.

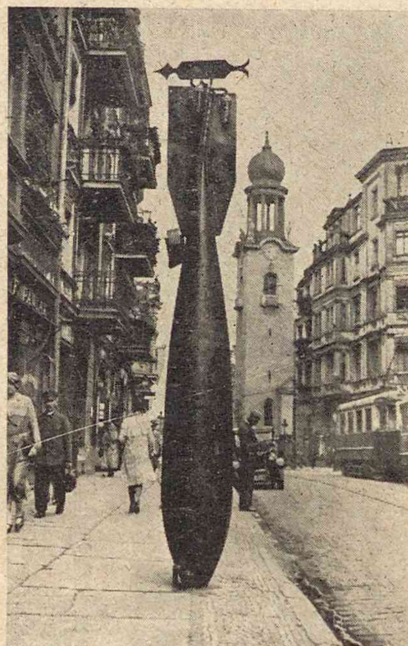
Maj jest miesiącem szmaragdów, przynoszących szczęście w miłości, naturalnie zawsze tym, którzy urodzili się w maju, ale i zbytnią kochliwość. Czerwiec ma rubiny, kamień namiętności i burzliwych sentymentów, ale o dziwo, przynoszący szczęście w handlu. Lipiec obrał sobie starodawny krwawnik szlachecki, zapewniający dostojeństwa i zaszczyty tym, co go noszą wiernie i urodzili się w lipcu. Niektórzy przypisują mu również korale, te mają przynosić zdrowie i dobry humor. Za dawnych czasów wierzono święcie, że jeśli ktoś nosi stale naszyjnik z korali, może po ich barwie sądzić o swem zdrowiu: gdy korale są mocno czerwone, dana osoba ma się dobrze, gdy bledną, znak to

widomy, że nurtuje ją jawna lub skryta choroba.

Wrzesień posiada chryzolity albo jak chcą inni akwamaryny, albo jeszcze t. zw. poetycznie „księżycowy kamień". Ten ostatni zapewnia podobno wzajemność i stałość w miłości. Wiara ta jest również rozpowszechniona na wschodzie i narzeczeni w Chinach i w Annamie często ofiarują swym narzeczonym klejnociki z tym niedrogim a ładnym kamieniem. Wreszcie styczniowi stare kroniki przypisują z pięć czy sześć kamieni, z których najciekawszy jest onyx, kamień bohaterski, dający męstwo. Wiara w cudowne zalety kamieni minęła. Nosimy równie chętnie piękną imitację, jak prawdziwe klejnoty. Ale gdy się jest w Paryżu, warto popatrzeć na tysiące promienistych okien na rue de la Paix.

M. Kast.

PROPAGANDA SAMOOBRONY PRZECIW ATAKOM GAZOWO-LOTNICZYM.



W Poznaniu na ulicy Liga Obrony Powietrznej Państwa ustawiła oryginalną, zwracającą uwagę, torpedę lotniczą: w przyszłej wojnie używać będą podobnych narzędzi morderczych w atakach samolotowych na miasta! Jako propaganda samoobrony — torpeda ta odda niewątpliwe usługi uświadomieniu obywateli o grożącem niebezpieczeństwie.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

P. Miłej: Jako trwały barwnik do ust, polecam pani płyn *Roseinę*, który nie ściera się i trwa kilka godzin. Brwi na stałe przyciemni pani *Excelsiorem do brwi*, który przyciemnia trwale i zupełnie się nie zmywa.

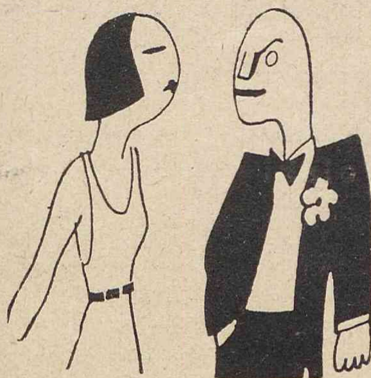
Masce: Jeżeli pani chce się pozbyć pryszczy i wągrów, to polecam pani mycie na noc twarzy *Otrąbkami Abaridowemi* w dobrze ciepłej wodzie, a następnie wetrzeć cokolwiek *kremu Abaridowego* i przypudrować lekko *pudrem Abaridowym.* Rano twarzy nie myć, a wytrzeć kawałeczkiem waty, zwilżonej *wschodnim płynem Mimosa.* Jeżeli cera byłaby za sucha, to zamiast *płynu Mimosa* proszę zastosować rano do wytarcia twarzy *płynny Goldcrem Abaridowy,* który jednocześnie można używać i pod puder. Żadnych tłustych kremów i pudrów nie używać, gdyż te zasklepiają pory i sprzyjają tworzeniu się tak zwanej tłustej cery. Wogóle lepszych środków do twarzy nad *krem, puder i otrąbki Abaridowe,* a także *wschodni płyn Mimosa,* niema, i stosując powyższe, może pani być pewną, że utrzyma stale czystą gładką, bez zmarszczek, o świeżym młodzieńczym wyglądzie cerę.

Sfinxowi: Idealnie gładkie białe i miękkie ręce będzie pani miała, stosując *krem prałatów* i wybielający pyłek *Juvenia Candida.* Jeżeli chodzi pani o krem tłusty, to waselina, jako tłuszcz mineralny, nie jest wchłaniana przez tkankę skórną, dlatego polecam pani *krem Neutre,* który zawiera w sobie Mitinę i lekko wchłaniana jest przez tkankę skórną. Zęby wybieli pani i utrzyma stale białemi, stosując proszek *Albol.* Lepszego środka do wybielenia zębów i utrzymania ich w należytej czystości niema.

M-m Ercedes.

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski.* Druk. Galewski i Dau, Warszawa

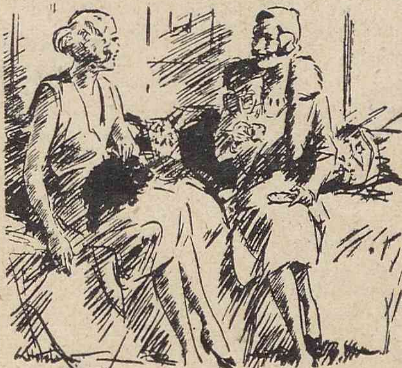
HUMOR ZAGRANICZNY i KRAJOWY



— Co się panu najbardziej we mnie podoba?

— Oczy. A pani we mnie?

— Pański dobry gust.

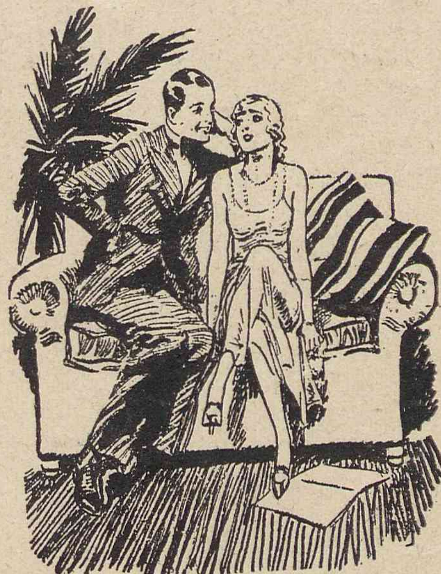


ROZTARGNIONA.

— Kiedy mnie sędzia zapytał, ile mam lat, nie mogłam sobie nagle uświadomić: dwadzieścia pięć czy dwadzieścia sześć.

— I coś mu odpowiedziała?

— Dziewiętnaście...



MIĘDZY NARZECZONYMI.

ONA: O czem tak myślisz?

ON: O tem samem co i ty, najdroższa.

ONA: Jeśliby się pan ośmielił to zrobić, zacznę krzyczeć.



— Zadowolona pani z wyjścia za mąż?

— Owszem, tylko chciałabym mieć innego męża.

— Czemu przepijasz cały zarobek?

— Nie mogę inaczej...

— Powinieneś się leczyć.

— Żaden lekarz mi nie pomoże...

— Tak owładnął tobą ten zgubny nałóg!...

— I tak — i nie.

— Cóż więc cię pcha do zguby?

— Żona. Stale mi powtarza, że wyszła nieszczęśliwie za mąż!

*

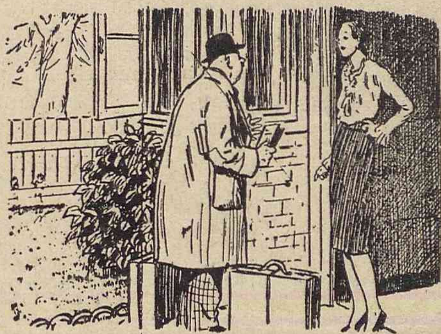
Mały, ciekawy Leoś pyta ojca:

— Powiedz mi, tato, kto to jest szef?

— Nie rozumiem twego pytania.

— Kogo nazywa się szefem?

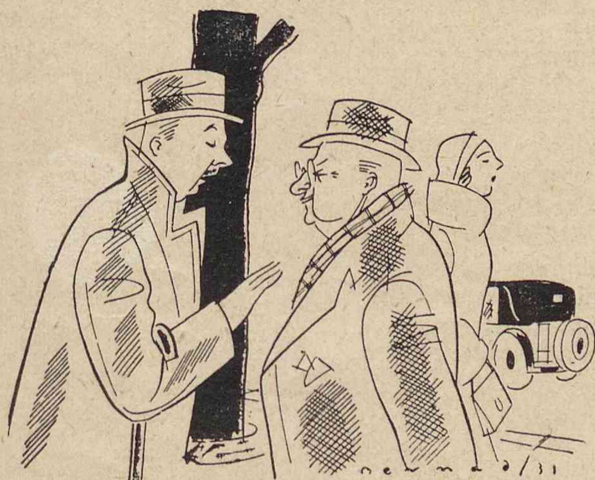
— Ach, o to ci chodzi! Widzisz, szef — to jest taki pan, który jest nieobecny w biurze, gdy ja przyjdę wcześnie, a sterczy od kwadransa, gdy ja się spóźnię!



— Oto książka, która zainteresuje łaskawą panią: „Przyjaciółka męża, czyli 500 rad, jak usprawiedliwić późny powrót do domu".

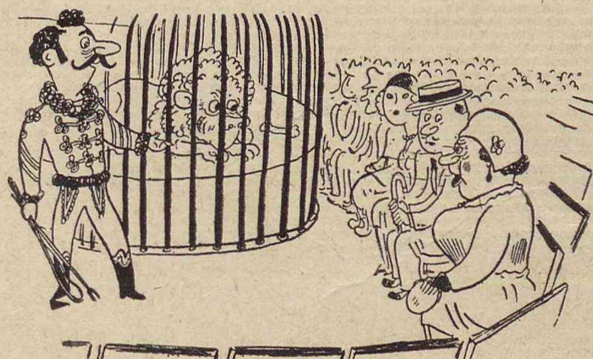
— I dlaczegóż to pan sądzi, że ta książka mnie zainteresuje?

— Ponieważ sprzedałem jeden egzemplarz pani małżonkowi.



— Jak się pan bawił wczoraj wieczorem? Widziałem, jak pan wychodził z żoną z „Moulin Rouge".

— Owszem, bawiłem się dobrze, ale mojej żonie lepiej niech pan tego nie powtarza. (Le Rire)



W CZASACH KRYZYSU.

— Tysiąc złotych temu, kto wejdzie do lwiej klatki.

— Kochanie, możebyś tak spróbowała szczęścia?

CENY OGŁOSZEŃ

Okładka I tyt. Zł. 700.—
„ II „ 600.—, 1/2 300.—, 1/4 150.—, 1/8 75.—
„ III „ 450.—, 1/2 225.—, 1/4 112.50
„ IV „ 600.—, 1/2 300.—
Przed powieścią . . . Zł. 600.—, 1/2 300.—, 1/4 150.—

Ogłoszenia w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej.
Kronika towarzyska za 1 mil. szerok. jednej szpalty 2 zł.
Dział Tam Kupujcie „ „ „ „ „ „ 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . 3 zł.

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie.

Hurtownie „Świata": dla prowincji Tow. „Ruch", Sp. Akc. Warszawa, Al. Jerozolimska 63, telefon 670-87, dla Warszawy: „Czytajcie" Krak.-Przedm. 60 Tel. 210-00.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
Szpitalna 12. Tel. Administracji 504-00 i 501-51
KONTO CZEKOWE P. K. O. 3755
ORAZ WSZYSTKIE WIĘKSZE KSIĘGARNIE

W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2, Księgarnia Ludwika Fiszera, ul. Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: ul. Gwarna 16. Centrala Gazet **L. Robowska. CENY PRENUMERATY: w Warszawie** odbiór na miejscu miesięcznie 6.— zł., z odnoszeniem do domu 6.50 zł., na prowincji miesięcz. 7.— zł., kwartalnie 21.— zł. Zagranicą miesięcznie 9.— zł.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI **1 zł. 40 gr.**

Druk. Galewski i Dau, Warszawa



P